

Tą książką można leczyć uporczywe i nawracające stany odurzenia rzeczywistością.



STAN PODGORĄCZKOWY

Renata Chołuj

Powieść w czterdziestu kapsułkach

STAN PODGORĄCZKOWY

Powieść w czterdziestu kapsułkach



Renata Chołuj



EDIPRESSE
KSIĄŻKI

Copyright for the Polish Edition

© 2016 Edipresse Polska SA

Copyright for text © 2016 by Renata Chołuj

Copyright photo © SFIO CRACHO/Shutterstock

© zhu difeng/ Shutterstock

Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska

Redaktor inicjujący: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),

Beata Konik (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Anita Rejch

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych: Dolina Literek

Projekt layoutu, korekta i skład: Dolina Literek

Biuro Obsługi Klienta

www.hitsalonik.pl

mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 584 22 22

(pon.–pt. w godz. 8:00–17:00)

www.facebook.com/edipresseksiazki

ISBN 978-83-7945-466-2

Druk i oprawa: Lega, Opole

Stan podgorączkowy *dedykuję sobie, ponieważ chcę mieć pewność, że osoba, którą spotka zaszczyt odebrania dedykacji, nie pozostanie obojętna na świetny styl tej książki.*

Kapsułka pierwsza

15 maja

Ranki są najgorsze. Rozkleić powieki. Przyjąć i utrzymać pozycję wyprostowaną. Zignorować potężną siłę, która ciągnie człowieka w stronę kołderki jeszcze cieplej od niedokończonych snów. Wymacać ekspres, wprowadzić do żołądka dwieście mililitrów czarnej kawy. Zacząć dzień.

Kiedyś zdawało mi się, że to już jest naprawdę ambitny plan jak na wpół do siódmej. Teraz zrozumiałem, że skoordynować te działania z dwiema istotami nieletnimi to jest dopiero wyczyn. Wszyscy w naszej klinice wiedzą, że nie cierpię spóźniania. Fatalny obyczaj. Lekarz powinien być zorganizowany i wiedzieć, ile potrzebuje na dotarcie do roboty. Ginekolog zwłaszcza.

Rodząca nie poczeka, aż rozładuje się korek na moście Poniatowskiego...

Hania ma nowe pryszcze na czole. Tragedia czternastolatki. Nie wyjdzie z domu, nie pokaże się w szkole. To co, że jest klasówka z biologii. Jeszcze ją Kuba zobaczy w TAKIM stanie (Co za Kuba? Muszę zbadać temat, ale nie przed siódmą rano). Dramat, kryzys, koniec świata.

Antoś jest prawie gotów, ale nie ma jednej skarpetki. To znaczy przed chwilą miał, ale nie ma. Bo umiał sobie czas podrzucaniem garderoby, jedna skarpetka zahaczyła o karnisz. Trudno. Nie muszą być do pary. Sam chodziłem kilka razy w różnych. Świat pozostał obojętny. Ale moja żona miała inne zdanie na ten temat.

Biały ser z rzodkiewką z jakichś nieodgadnionych przyczyn nie kwalifikował się na śniadanie. Żadne dziecko nie ruszyło. Zrobiłem całą miskę, to pewnie będę jadł jeszcze na kolację.



Próbuję odpalić silnik i ugasić emocje. Silnik dwa razy gaśnie, emocje – wręcz przeciwnie. Na szczęście jeszcze raz zdarzył się cud i skoda odpaliła. Pojedziemy! Dzięki ci, Boże Łaskawy. Odgrążam się rodzinie, że odjadę sam, jeśli za pół minuty nie wsiądą. Miłka robi co może, pohukuje na Hanię oraz ciągnie młodego za fraki. Hania jakoś się wlecze, humor zdewastowany pryszczami.

Jeszcze przed rondem Waszyngtona Antoś musi natychmiast się dowiedzieć

paru istotnych rzeczy: Która jest godzina w Chinach? Czy tarantula puszcza bąki? Jak długo żyje mucha plujka? I paru innych.

Zostawiliśmy dziewczyny na rondzie Waszyngtona. I pognaliśmy dalej przez most, do placówki wychowawczej Żółta Żaba. Na szczęście Antoś, jako dojrzały przedszkolak, radzi sobie znakomicie ze zmianą obuwia i z całym żółtożabim regulaminem. Ale zawsze coś musi się wydarzyć. Dopadła mnie pani przedszkolanka-żabianka, na widok której już od kilku dni mówiłem z narastającym przekonaniem: „Jutro to już na pewno!”. Ale tym razem się nie udało. Można by rzec – nie uszło mi płazem. Bo to dzisiaj właśnie Żabki i Kijanki idą na wycieczkę. Musiałem pójść do sekretariatu, zapłacić, podpisać plik rozmaitych kwitów, że się zgadzam, że alergii pokarmowych nie zgłasza się, że przyjmuję do wiadomości odstępstwo od diety optymalnej na dzisiaj. Oraz tak przy okazji, proszę pana, wysokość deklarowanej kwoty kwartalnego funduszu rodzicielskiego, uregulowanie należności za judo i angielski. Oraz czy byłby pan uprzejmy rozstawić stoły i krzesła na najbliższym jubileuszowym pikniku z okazji dwudziestolecia przedszkola oraz Dnia Ojca, bo każdy rodzic powinien mieć jakiś wkład w przygotowania.



No i się spóźniłem. Odprawa musiała się zacząć co najmniej dziesięć minut temu. Nie znoszę takich sytuacji. Próbowałem bezszelestnie rozewrzeć wrota do Mordoru, za którymi stała docent Iwona Struś oraz cały zespół, ale się nie udało. Stare zawiasy zaskrzypiały przeciągle. Dziesięć par lekarskich oczu popatrzyło wymownie w stronę drzwi. Bezgłośnie skinąłem głową na „dzień dobry”, podpełzłem po ścianie w stronę wieszaka i naciągnąłem na siebie biały fartuch. Ze zdenerwowania nie mogłem dopiąć guzików. Możliwe, że ze stresu tak się nadałem.

Na koniec odprawy Strusiowa wyraziła życzenie miłego dnia i ruszyliśmy na obchód, a potem każdy do swojej roboty. Nie mogłem uwierzyć. Żadnych uszczypliwości, przytyków, akcji uwalniania jadu. To jakaś wyższa perwersja musi być (a może zaczęła brać hormony?). Wyżyński już w zeszłym tygodniu mi mówił, że z ordynatorową coś się dzieje: tu wesprze, tam pocieszy, psa do serca przytuli. Nie chciałem wierzyć. Ale dalibóg – prawda.

Nie wierzę w resocjalizację ani nagłe nawrócenie. To babsko coś knuje.



Przed piętnastą byłem już po obchodzie i po dwóch cesarkach. Przyszedłem do lekarskiego uzupełnić papiery. Władek Drewnowski kazał mi się pośpieszyć, bo dzisiaj otwierają barek po remoncie. Trzeba przeprowadzić wizję lokalną. Wreszcie znów będzie można coś zjeść bez wychodzenia z gmachu. Uzupełniłem zlecenia w kartach i wypisałem recepty dla pacjentek, które dzisiaj wychodzą. Sięgnąłem do kieszeni po pieczątkę. Natrafiłem na coś nieokreślonego w kolorze seledynowym. Zmrużyłem oczy i obejrzałem pod słońce. Cóż to może być? Opaska uciskowa? Bandaż elastyczny? Musiałem doznać jakiegoś przebłysku świadomości co do seledynowego obiektu, ale nie zdążyłem go dostatecznie szybko schować.

– Bardzo ładne stringi! – grzmotnął Władek, aż prysnął na mnie sok z jabłka, w które właśnie wbijał zęby. – Będiesz przymierzał? Zostałeś, Termos, fetyszystą?

– Nie, dla ciebie przyniosłem. – Posłałem mu buziaczka.

Wszyscy w lekarskim oderwali się od swoich zajęć i podnieśli głowy znad monitorów. Takie akcje są tutaj lubiane najbardziej. Niby ludzie na poziomie, niby wykształceni, a czasem jak dzieci (A Drewnowskiego w stosownym czasie opierdołę. Znowu mówi na mnie Termos przy stażystach). Władek rzeził ze śmiechu jak stary astmatyk z hiperwentylacją. Rzeził i rzeził, aż zadławił się jabłkiem. Walnąłem go między łopatki. Kawałek mięszu wyskoczył na klawiaturę.

– Chodź już do tego barku, Ty Królewno Śnieżko niewydarzona – zachęciłem kolegę.

– Dobra. Tylko zmienię stringi i lecę – wycharczał dowcipny Władzio.



W barku zmieniło się niemal wszystko. Powitała nas duża, częściowo przeszklona ściana z napisem „Café lunchroom Wulkan”. Spodobała mi się dwustronna zawieszka na drzwi: Wulkan czynny w godz. 8.00–17.00/ Wulkan nieczynny w godz. 17.00–8.00. Tym akcentem pozytywne wrażenia się zaczęły i skończyły. Białe płytki z pomarańczowo-czarną obwódką nie bardzo przypadły mi do gustu. Jałowe wnętrze, bez charakteru. No i te plastikowe krzesła, jak w każdym katalogu Ikei. Może i stare thonety faktycznie były wysłużone, ale czy nie ma już innych modeli? Tylko plastikowe siedzisko na drucianych nogach?

Przytulnie tu mniej więcej tak jak w prosektorium.

Przestudiowałem wiszące na ścianie menu oraz zawartość witrynowych lodówek. Żadnego normalnego jedzenia. Sushi (nie lubię), panini, tortille oraz zimne przekąski: hummus z sumakiem, ravioli z selera, trójkątne kanapki z łososiem oraz jakieś sprasowane żółtawe jedzenie polane czarną mazią (wygląda jak pokarm dla kosmonautów). Mało i pretensjonalnie, ale za to drogo!

Zza kuchennych drzwi wyłoniła się pani Dziunia, mój gastronomiczny autorytet i żywy symbol smacznego obiadu.

– Dzień dobry, panie doktorze! Widzi pan, co tu się porobiło?

– Dzień dobry. Widzę i się martwię, droga pani. Zdechnąć można na takim wikcie.

– Od rana tłumaczę kierownikowi, że tu zawsze doktory biorą kaszę z sosem, leniwe, kartofelki, kotleta z surówką. A on, że, proszę pana doktora, takie są trendy i że trzeba ten lokal apgrejdować – błysnęła frazą.

– Jeśli o mnie chodzi, to nic dobrego z tego nie wyniknie. – Sięgnąłem po portfel. – Pani Dziuniu, pani pozwoli kawę firmową Wulkan.

Pani Dziunia z wyraźnym skupieniem przystąpiła do obsługi nowego ekspresu.

– Po mojemu to takie jedzenie – kłęb pary buchnął w twarz pani Dziuni – dla tych, no... flamingów czy lemingów by było dobre. Nawet drożdżówek nie ma, tylko jakieś nowomodne tartaletki po trzynaście złotych. A tu jest szpital i ludzie pracują, a nie tam, że po szklanych biurówcach tyłki grzeją.

I tak z Władkiem spędziliśmy kwadrans przy czarnej kawie. A ja wyraźnie zobaczyłem, że moja dietetyczna przyszłość rysuje się marnie. W pracy jakieś modne przekąski zamiast obiadu, w domu – żona wegetarianka.

Albo się przyzwyczaję, albo schudnę.

Musiałem jakoś markotnie wyglądać, bo kolega Władzio przyjrzał mi się z ukosa i zagaił:

– Coś ty, Termos, nie masz tęgiej miny. Trzy miesiące żonaty, powinienes ćwierkać, a gębę masz zatroskaną, jakbyś się do złotych godów szykował...

– Do złotych godów to ja, człowieku, nie dożyję... Już ledwo ciągnę.

– Co jest? – Władek siorbnał kawę i objął mnie czułym wzrokiem pediatry z powołania.

– Niby nic szczególnego... Zwyczajny atak codzienności. Sprawy potoczyły się szybko. Dzieciaki Miłki muszą przywyknąć do mojej stałej obecności. Z Antosiem idzie łatwiej, od początku się zakumplowaliśmy... Ale Hania jest dużą dziewczyną... Już gimnazjum... Bywa, że daje do wiwatu, testuje... Przypomina mi od czasu do czasu, że nie jestem jej ojcem, a tylko mężem – i to świeżym – jej mamy. Cała ta akcja łączenia rodzin to, kurde, delikatna sprawa. Projekt na lata.

– Nooo. Bo jak sobie zatwardziały stary kawaler bierze kobitę z dziećmi, a ty

się Termos ekspresowo uwinął – Władzio z maniakalną dokładnością odmierzał trzecią łyżeczkę cukru do kawy – to jednak jest skok na główkę do pustego basenu...

– Aaale z ciebie ekspert! Jak będą redukcje na ginekologii, to możesz się zatrudnić w poradni małżeńskiej – próbowałem zakpić.

– Żebyś wiedział! Swoje przeżyłem. A ty zawsze byłeś nieprzystosowanym społecznie maminsynkiem i dziwakiem – skomplementował mnie Władzio, niczym mędrzec w natchnieniu uniósłszy palec wskazujący. – A ja od szesnastu lat mam i żonę, i teściową, to już dawno mnie życie przeszargało...

W drzwiach pojawiła się Łucja, nasza ulubiona, seryjnie samotna urołożka. Szykowna jak zawsze.

Władzio natychmiast się wyprężył i poprawił nakrochmalony kołnierz.

– Przypominam ci tylko, że jesteś żonaty, od szesnastu lat... – wycedziłem mu koło ucha.

– Tak, tak... Ale ja unikam fanatyzmu pod każdą postacią! – skonstatował mój kolega i rzucił się odsuwać Łucji krzesło przy naszym stoliku. – Pójdę po kawę dla ciebie. – Cmoknął koleżankę w policzek. – Jaką chcesz?

– Latte na ryżowym mleku.

Nasza koleżanka wbiła we Władzia wzrok, zajrzawszy mu chyba na samo dno oka. I to bez oftalmoskopu.

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem i czy chodzi o ryżowe, czy różowe mleko. Ale się nie odezwałem, żeby nie wyjść na większego lamusa, niż jestem. Wszyscy u nas wiedzą, że Łucja w lot łapie wszelkie trendy.

– Wróciłaś z urlopu? Byłaś chyba jakaś bielsza miesiąc temu.

– No pewnie! Tydzień moczyłam się w Oceanie Indyjskim. A potem byliśmy nad Jeziorem Białym z koleżanką z podstawówki. Mówię ci, Termos, wypiliśmy chyba całe morze kawy. Rzeka wspomnień.

– Jakieś wodniste te twoje wspomnienia – wyrwało mi się.

– Sam jesteś wodnisty – prychnęła. – Powiedz lepiej, kiedy rodzisz dziecko?

– Nooo... jesteśmy tak w połowie ciąży. Ale Miłka już wygląda, jakby miała urodzić autobus – zeznałem prawdę. – Poza tym stara się o telepracę na najbliższe miesiące. Ale na razie podobno zoo nie może się obyć bez psychologa zwierzęcego. Bez Miłki, zdaje się, małpki kapucynki mogłyby popaść w depresję czy tam inną melancholię...

– Bardziej dbają w tym zoo o małpki niż u nas w szpitalu o pacjenta...

– No – przytaknałem – i dieta bardziej wyrafinowana.

– Właściwie, Termos, to mi uczyniłeś pewną przykrość. – Łucja szybko ciskała słowami. A ja, zaskoczony zmianą tematu, nadstawiłem uszu w oczekiwaniu na ciąg dalszy. – Kiedy byłeś wolny, to zawsze myślałam, że jeśli nie spotkam kogoś takiego, że wiesz, że tak mnie w krzyżu łupnie, chóry anielskie

zaśpiewają... to zawsze mogę się za ciebie wydać!

– Wydała mi drobniakami, sorry. – Władzio sypnął bilonem na stolik.

I postawił przed Łucją kawę w fikuśnym szklanym pucharku.

A ja na kilka długich sekund zostałem z miną wioskowego głupka.

– Słyszałam – Łucja tym razem zwróciła się do Władka, powtórnie zapuszczając w jego źrenice wziernikowe spojrzenie – że macie nowych stażystów. Klara mi mówiła. Podobno takie ciacho chodzi u was po oddziale, że dziewczynom staniki eksplodują.

– No... mamy czworo stażystów. Dwie laski i dwóch gostków. Ale który niby taki piękny? – Władzio podrapał się w czubek głowy i spojrzał na mnie pytająco. – Ten Michał, co ma ze sto trzydzieści centymetrów wzrostu i podskakuje do pisuaru? Czy Rafał?

– Na mnie się nie oglądaj – westchnąłem.

– Ten, ten! Rafał! – Łucja podskoczyła na plastikowym wulkanicznym krzeselku. – Klara mówi o nim Rafaello. Musicie mnie z nim poznać!

Obaj z Władziem umilkliśmy. Że też taki wiotki koło w opiętych spodenkach i fioletowych trampkach robi furorę na oddziale. Zaspane powieki, wyżelowane włoski, buzia-różia-cud-malina.

– Jak chcesz – bąknął Władek. – Ale prawdę ci powiem, że ten Rafaello to jakiś taki waginosceptyczny jest...

Poszliśmy, zostawiając Łucję samą przy stoliku. Zdarzył się pretekst, pager mi zapikał, ale i tak zasłużyła, cwaniara jedna. Mnie posadziła na ławce rezerwowych mężów, Władkowi zalotnie zaglądała w ślepie, a wypytywała o trzeciego.

Ech, kobiety...

Kapsułka druga

17 maja

Obudziłem się przed szóstą i zobaczyłem, że Miłka już nie śpi. Stoi niczym biała dama (wersja XXXXL) przed lustrem w szafie i z każdej strony ogląda swój ciężowy brzuch.

– O Boże, jeszcze ciemno. Co się snujesz po nocy? Źle się czujesz? – wymamrotałem zaspány.

– No, zarzygałam dywanik w łazience. I spać jakoś nie mogłam.

– Czekaj, zrobię ci herbaty z imbirem. – Z sukcesem udało mi się trafić lewą nogą w prawą nogawkę. – Działa przeciwwymiotnie.

Potarłem zapuchnięte powieki i przyjrzałem się mojej żonie:

– E, mam wrażenie, że jakoś troszeczkę jest cię więcej niż wczoraj.

– No. Wyglądam jak mirunga.

– Jak co?

– Jak mirunga, inaczej słoń morski. – Miłka spróbowała wyprostować przeciążony kręgosłup. – Samice osiągają wagę dziewięciuset kilogramów.

Spojrzałem na nią krytycznie.

– To jeszcze ze dwieście kilo ci brakuje.

Udało mi się przyporządkować właściwą nogę do właściwej nogawki. A nawet przypomniałem sobie mirungi z książki o dużych ssakach. Czytałem niedawno Antosiowi na dobranoc.

– Dzięki. Ty to wiesz, jak pokrzepić kobietę... – Moja żona bezsilnie opadła na fotel. – I znowu chce mi się rzygać.

– No dobra, dobra. Żartowałem! Nie musisz zaraz rzygać. Zawsze odróżnię cię od słonia morskiego. Bo ty przecież nie masz trąby!

– Samice nie mają, tylko samce.

– A, no to tym bardziej...

Dopiąłem pasek. Miłka przestała się już ze mną droczyć. Ewidentny znak, że naprawdę z nią nietęgo.

– Musisz iść dzisiaj do roboty? Bo wiesz, z męża lekarza taki jest pożytek, że może wystawić zwolnienie...

– No chyba żartujesz. Muszę! Projekt z kapucynkami nie zaczeka. Harmonogram całego zoo jest zrobiony tak, żebym mogła przed czerwcem skończyć część praktyczną. Dyrektor bardzo poszedł mi na rękę.

Poczłapałem do kuchni z myślą, że mój „dyrektor”, czyli niejaka docent Iwona Struś, nic nikomu nie ułatwia, a jedynie utrudnia. Skutecznie rozmontowała

zintegrowany kiedyś zespół. Zjawiała się zastępczo, na kilka miesięcy, a najpewniej dotrwa do emerytury. Dobry szef to rzadko występujący w przyrodzie luksus.

Zalałem wrzątkiem herbatę imbirową i resztki zmielonej kawy. Sam poczułem się zmęczony, zmielony i posiekany od środka, ale szósta jedenaście na elektronicznym zegarku w kuchni oznaczała jedno: kierat wzywa.



Zaraz po odprawie dopadła mnie oddziałowa sekretarka, pani Aniela, z wiadomością, abym pilnie udał się do dyrektora, profesora Łatki. Zszedłem na parter, skręciłem we wschodnie skrzydło Szpitala Klinicznego nr 1. Byłem tu może ze trzy razy w ciągu niemal czternastu lat mojej pracy w służbie drugiemu człowiekowi. Jeśli największy generał wzywa pracownika na dywanik, prawdopodobne są tylko dwa przypadki: albo los sypnie kwiatami pod nogi, albo piachem po oczach.

Zatrzymałem się przed witrażem świętego Błażeja, patrona chorób gardła i krwotoków. Czyżby to był jakiś znak? Miałbym położyć szyję pod topór? Tak czy owak trzeba stawić czoła i wyjść przeznaczeniu naprzeciw.

– Siadaj, Tomasz. Przełóż któryś stos papierów. – Łatka piórem wskazał, co i gdzie należy przełożyć. – Zaraz skończę.

Wcale nie miałem ochoty siedzieć. Ale gdyby profesor kazał, tobym się nawet położył (w końcu to nawet zgodne z nazwą mojej specjalizacji: jestem położnikiem). Stałem, w zasadzie już siedziałem, twarzą w twarz z Majestatem, z żywą historią polskiej medycyny. Profesor był stary już wtedy, gdy zaczynałem studia. Teraz ja jestem po czterdziestce, a on, dyrektor szpitala, jest stary jak Matuzalem.

– Kiedy złożysz papiery na habilitację?
– Planowałem w zeszłym roku, ale niedawno założyłem rodzinę i...
– Zbierzesz publikacje i przyjdiesz przed końcem czerwca! – Z ust profesora wybrzmiała radykalna zachęta z nutą pogroźki.

Musiałem się przyoblec trupią bladością. Łatka zahaczył wzrokiem o moją przerażoną twarz i pewne rzeczy wytłumaczył mi jeszcze dosadniej:

– Przestań się certolić. Papiery do czerwca! Życie masz tylko jedno. I to niecałe. – Profesor przetaił szmatką okulary. – O czym ludzie zwykle nie chcą pamiętać.

– Tak jest! – Zasalutowałem jak grzeczny poborowy.
– Spoczniej! Ja potrzebuję kogoś z ha-bi-li-ta-cją – popatrzył na mnie wymownie – kto w Klinice Położnictwa i Ginekologii pociągnie ważny projekt. A ty potrzebujesz pieniędzy.

Profesor jest internistą, endokrynologiem i parazytologiem. To wiedziałem. Ale że również jasnowidzem?!

– Wspominałeś coś o małżeństwie, tak? Znaczący potrzebujesz pieniędzy. – Profesor odruchowo poklepał wybrzuszoną kieszeń z wetkniętym portfelem. – Myślenie dywergencyjne. Zresztą, co ja ci będę, Tomaszu, opowiadał. Miałem trzy żony.

– A czym miałbym się zająć, skoro żonę już mam?

– Czekaj, czekaj. – Zaskrzypiała szuflada olbrzymiego biurka. Profesor wy dostał opasły skoroszyt z napisem „New technologies in gynecology”. – Weź te papiery na kilka dni. Komisja Europejska za pomocą European Wound Management Association chce wydawać kasę na fizjologię gojenia ran położeńniczych. W Polsce kilka ośrodków, pod twoją wodzą, będzie analizować wyniki terapii podciśnieniowej. Holendrzy – srebro nanokrystaliczne. A ty masz koordynować całość. Wszystko tam stoi czarno na białym. Pod koniec roku będzie reorganizacja. Dostaniesz stanowisko w zasadzie równorzędne z ordynatorskim. A potem Strusiowa odejdzie na zasłużoną emeryturę i przejmiesz całokształt. Nie pytaj, komu bije dzwon...

Podskoczyłem. Ebonitowy aparat telefoniczny zadzwonił z tak potężną siłą, że zląkłem się jak dziecko. Rozdygotany chciałem już się zbierać do wyjścia, ale profesor pokazał, że mam zostać.

Po paru minutach rozłączył się i wyraźnie zmęczony wsparł głowę na dłoniach.

– Z ministerstwa dzwonili, Termos. Minister chce mnie zaszczyścić odznaką „Zasłużony dla polskiej medycyny”. Nie jestem pewien, czy nie powinni zmienić tej laurki na „Zadłużony dla polskiej medycyny”. Bo pieniądze na remont muszę im pazurami... – Profesor jakby się wyłączył na chwilę, a potem nagle uderzył otwartą dłonią o blat biurka. – A na razie pojedziesz na szkolenie.

Wręczył mi zaproszenie na kredowym papierze.

Rozłożyłem bladożółty kartonik.

Metodologia pozyskiwania funduszy pozasystemowych dla stołecznych jednostek lecznictwa publicznego, 11–13 sierpnia, hotel Góralski Folklor, Resort & Spa, Białka Tatrzańska.

– Szkolenie dla „stołecznych jednostek” w Białce Tatrzańskiej?

– Otóż to, Tomasz. Hotele, diety, dojazdy... – Łatka sięgnął po cygaro. Dotychczas samo się tliło. Profesor wprawnie się zaciągnął i zakasłał. – A potem dla szpitala brakuje pieniędzy na witaminę C. Jakby cię interesowało, hotel Góralski Folklor należy do teściowej wiceministra Trufla. A to i tak wierzchołek – *nomen omen* – góry...

– To nie mam więcej pytań. Taki polski folklor.



Domknąłem cicho drzwi. Zaczęło do mnie docierać, co powiedział Łatka. Czasem, ale nieczęsto, kiedy się denerwuję, mam ochotę zapalić. I jakoś zwykle zwalczałem tę ochotę. Skoro byłem już na parterze, kupiłem w kiosku cienkie, mentolowe papierosy i ze wschodniego skrzydła wyszedłem na dwór, prosto na skwer. Zachłysnąłem się zapachem świeżo skoszonej trawy, żeby po chwili przełamać te aromaty drażniącym tytoniem. Wypaliłem dwa. I próbowałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy propozycja profesora nie wypali mnie... zawodowo. Ja zawsze wołałem stół operacyjny niż biurko. Od pierwszej sekundy kołatała mi się po głowie myśl, że to Patison byłby najlepszy. Zawsze był. Jak go znam, ponad dwadzieścia lat. Największe zaszczyty, najpiękniejsze dziewczyny – wszystko jego. Wszyscy go lubią za cięty jęzor i humor. I dobrze. Byłby świetnym ordynatorem. A ja – nie wiem...

Natomiast wiem, że przysposobiłem dwoje dzieci i będzie trzecie. Do niedawna miałem minimalne potrzeby. Teraz muszę rodzinie zapewnić minimalny standard... Spojrzałem na zegarek i struchlałem – dziesiąta dwadzieścia. Moje rozważana egzystencjalne muszą poczekać.

Wystartowałem przeto truchtem wzdłuż wschodniego skrzydła, potem na skrót przez dziedziniec do głównego wejścia. Dopadłem windę towarową i wyskoczywszy z niej na tyle pośpiesznie, na ile pozwala moja lekarska godność, ruszyłem w stronę bloku operacyjnego. Cały zespół czekał na mnie od niemal trzydziestu minut. Mamy na bazie ciężarówkę do rozładowania. Cięża bliźniacza, trzydziesty drugi tydzień.

Pracuję dzisiaj z Wincentym, trochę nadpobudliwym anestezyjologiem. Nie chcę go drażnić, bo gotów jeszcze mnie samego potraktować tlenkiem azotu czy tam innym halotanem.

Zabieg szedł gładko, zgodnie z planem. Rozciąłem skalpelem kolejne powłoki brzuszne, rozdzieliłem mięśnie proste, odpreparowałem je od otrzewnej. Wszystko szło jak z płatka, działałem automatycznie. A moje myśli już do końca dnia krążyły wokół rozmowy z profesorem.

I nie opuszczało mnie wrażenie, że medycynę mamy na najwyższym poziomie. Absurdu.

Kapsułka trzecia

25 maja

Od marca wziąłem trochę więcej godzin w Medicusie. Dla kasy. Przed południem odbębniłem sześć wizyt. A do szpitala jadę dopiero na dziewiętnastą.

Są takie dni – tfu! – chciałem powiedzieć: godziny (!) szczęśliwości w życiu człowieka żonatego, że może posiedzieć sam w domu. Dzieci w publicznych placówkach oświatowych, żona w pracy (zresztą ostatni tydzień, od czerwca, tak jak chciała – telepraca). Badanie wykazało łożysko przodujące, Miłka musi się oszczędzać i nie ma gadania. Skądinąd prorodzinny gość musi być z tego dyrektora zoo. Nie wyobrażam sobie, jak Miłka ma wykonywać obowiązki psychologa zwierzęcego na odległość. Ale skoro się zgodzili, nie będę szukał dziury w całym. Zresztą niewykluczone, że już nawet i małpy podpinają do internetu... Może i nie byłoby to całkiem pozbawione logiki, skoro internet z nas, ludzi, w pewnym sensie, robi małpy...

Dawno nie czułem się taki kontent, jak dziś.

Jest maj, pachnie Saska Kępa szaaalonym, zieceelonym bzeem. Potrzeba mi tylko kawy. Wytargałem na taras mój ulubiony zielony fotel, z regału wyjąłem *Ziemię obiecaną* Reymonta. Obiecałem sobie częściej zaglądać do klasyki. Przeczytałem parę stron, a potem pomyślałem z wdzięcznością o mamusi. To wszak jej przyjaciele wyjechali na placówkę dyplomatyczną do Asuncion i dzięki mamusinyim staraniom mogłem zainstalować rodzinę w cudnej willi obrośniętej bluszczem. Trafiło nam się jak ślepej kurze... Na cztery lata, ale jednak. Mam nadzieję, że kiedy się zaharuję i zarobię jako koordynator i ordynator, kupimy z Miłką coś własnego. No, ale na razie dobrzy bogowie mnie ocalili.

Asuncion znaczy „wniebowzięcie” i upatruję w tym wyraźnego znaku. Życie bywa zdumiewająco urocze...

Swoją drogą, odkąd poślubiłem Miłkę i zostałem ojczymem jej dzieci, zacząłem dostrzegać radość w małych rzeczach: rozdziale książki, dobrym śnie, godzinie spokoju przy kawie, tak jak teraz... Chwila marzenie! Mała kawa i wielka literatura.

Ktoś zadzwonił do furtki. Jasna cholera! Usiadłem akurat na zachodnim tarasie, z tyłu domu, więc muszę zbiegnąć z piętra i okrążyć dom, aby zobaczyć, kto się dobija.

– Dobry! – przywitał się gość w berecie. – Ziemia w workach czterdzieści litrów. Uprawna do kwiatów, sadzonek, warzywnego ogródka. Dziewiętnaście za worek...

No i mam swoją, szlag by to trafił, ziemię obiecaną.

– Dziękuję uprzejmie. Nie jestem zainteresowany.

– Z dostawom. Na przyczepie som worki. – Wskazał brodą pobrudzonego vana zaparkowanego tuż za nim. – Jak pan kupisz osiem worków, to jeden będzie

darmowy.

– Dziękuję. Wciąż nie jestem zainteresowany.

– Nie ma się co interesować, tylko kupić trza od człowieka, jak grzecznie oferuje.

– Pozwoli pan, że jednak odmówię. Nie potrzebuję ziemi.

Mimo wszystko czułem się troszeczkę winien, że nie reflektuję na towar.

– Ani ja! – ryknął bereciasty. – Ale to kwestia jest przyzwoitości, ziemię od Polaka kupić, nie?

– Cóż. Być może, ale ziemia, jak widzę po napisach, niemiecka.

– No i jebać, że niemiecka!

Beret stracił cierpliwość, czyli go przemogłem w wojnie psychologicznej. Trzasnął porzewiałymi drzwiczkami vana.

Uziemiłem go!

Niebywała koincydencja.

Wróciłem do lektury. Przerzuciłem kilka kartek i pomyślałem, że jednak odłożę książkę. Prawie wszystko pamiętam. Przy półce z klasyką zawahałem się nad *Ogniem i mieczem*, ale aż strach brać do ręki, bo jeszcze mafia zaraz zapuka.

Dzwonek.

– ...wamać! – wymamrotałem już poirytowany kolejną przebieżką do furki.

– A miód spadziowy, się zapomniałem zapytać, pan chcesz? Dwa słoiki w cenie jednego. – Beret wyszczerzył kilka żółtych zębów, w tym jeden złoty.

– Dziękuję. Proszę mnie nie niepokoić – odwarknąłem ozieble.

– Aż te ludzie, cholera, nieużyte. Żeby miodem dupę smarować, to nie kupiom. – Beret przekuwał złote myśli na złote słowa za dziurawą bramą żółtozębną (plus jeden złoty).

Wróciłem na taras. Łyknąłem wystygłą kawę. Nastrój literacki jakoś przysł. Ciekawe dlaczego...

Ale i tak nie opuszczał mnie zachwyty nad wiosennym popołudniem. Dorodna wisteria przepięknie filtrowała majowe światło. Przymknąłem oczy, żeby zatrzymać ten obraz pod powiekami. Powoli zacząłem osuwać się w sen.

Dzwonek!!!

Nie. Nie. To nie może być prawda. Jeśli to maniakowi w berecie przypomniało się, że chce mi sprzedać na przykład worek kory, to ja już jestem skory klepnąć go w ten berecik. Zbiegłem na dół nabuzowany.

– *This is the day the Lord has made...* – zaintonował melodyjnym barytonem ryży dzieciak (na oko z dziewiętnaście lat) o ufnych oczach cocker spaniela.

Spuściłem powietrze.

Wy tłumaczyłem panom (bo ryży miał kompana), że zasadniczo też chwalebę imię pańskie, ale przyszli nie w porę. Zgodziłem się przyjąć folder „The American Protestant Church” i rozstaliśmy się w pokoju, choć spotkanie miało miejsce na

dworze.

Potrzebowałem jakiejś aktywności fizycznej, aby wytłumić agresję, którą rozpętał koleś w berecie. I tak ów ziemski akwizytor przysłużył się mojej skodzie, bo wziąłem się za odkurzanie tapicerki. Dolałem płyn do spryskiwaczy, sprawdziłem poziom oleju (chyba jako jedyny na oddziale mam auto, przy którym jeszcze wykonuje się tego typu nostalgiczną operację).

A potem pojechałem do roboty.

Na szpitalnym dziedzińcu wypatrzył mnie Patison.

– Eee, ej, przyjacielu mój, gdzie tak lecisz?

– Do swoich obowiązków, kochany.

– Ty to chyba chcesz awansować, co? – Patison zagwizdał. – Plotki chodzą po oddziale...

– Już? – Szczerze się zdziwiłem. – Zaledwie w piątek byłem na rozmowie z profesorem Łatką, a już bestie zwietrzyły? Kto rozsiewa plotki?

– Oj tam, oj tam. Nieważne kto, ważne, że dostaniesz kopa w górę!

Zaczęło kropić. Schroniliśmy się na schodkach, pod półokrągłym daszkiem, przy bocznym wejściu.

– To się jeszcze zobaczy, a na razie skupmy się na twardych faktach! W piątek spóźniłem się na odprawę, prześlizgnąłem się po ścianie do wieszaka i przez pomyłkę założyłem twój kitel. Z prawej kieszeni wyciągnąłem śliczniutki, zielonkawe stringi. Przy ludziach.

Patison trzymał fason. Nie zgasił uśmiechu. Ale znam go tak długo, że wiem, kiedy się denerwuje. Wtedy ciemnieje mu znamię nad lewym okiem.

– I co zrobiłeś? – spytał wesołowato mój przyjaciel.

– Wziąłem na klatę! – Rąbnąłem się w splot słoneczny. – Później mi podziękujesz.

– Co zrobiłeś ze stringami, pytałem. – Patison wycofał się pod same drzwi, bo deszcz zaczął coraz mocniej zacinać.

– Zachowałem na pamiątkę. A ty się opamiętaj! – Pogroziłem mu palcem.

Za nami dwie otyłe kobiety z tobołkami próbowały precyzyjnie przecisnąć się przez wąskie skrzydło drzwi i wyminąć Patisona. Rozkojarzony jakoś nie wyczuł tych manewrów za jego plecami. Złapałem go za ramię i przeciągnąłem ku sobie, aby odblokować przejście.

– Co za mężczyzna – odezwała się właścicielka potężnej popielatej torby – żeby kobiety nie przepuścić – sarknęła zgorszona.

– Najmocniej przepraszam za kolegę – nie mogłem zmarnować okazji – on już po prostu tak ma: **ŻADNEJ NIE PRZEPUŚCI!**

Objuczone kobiety poszły w deszcz, najpewniej nic nie rozumiejąc z mojego dowcipu. Natomiast mój przyjaciel rozłożył parasol wielki jak spodek ufo i tak jak ja jemu pogroził mi palcem.

Kapsułka czwarta

26 maja

Brama wjazdowa na mamusine podwórko przy Zawisłnej najwyraźniej była zepsuta. Trzeba się zatrzymać i otworzyć ręcznie. Już z daleka zobaczyłem, że Mietek, lokalny żul, a jednocześnie mój kolega z podstawówki, świadczy odpłatne usługi dla miejscowej ludności. Pracuje jako napęd ręczny i inkasuje świadczenia w wysokości pięćdziesięciu groszy od samochodu. Nie wiem dlaczego, ale jakoś mnie wzruszają poturbowani życiem goście, tacy jak Mietek. Wjechałem na posesję i wyszedłem z auta.

– Od skody nie biorę. Honor mam – wyjaśnił chropowatym głosem.

– Nie wątpię, Mieciu, w twój honor. – To ile ci brakuje do flaszki?

Zacząłem przetrząsać kieszenie w płaszczu.

– No wiesz, Tomek, suchy jestem jak Sahara. – Podrapał się nerwowo po szyi. – Siedem zeta i byłaby oaza i ekstaza.

Odliczyłem dychę drobniakami.

Mieciu podziękował z wyszukaną grzecnością. Nie chciałem, żeby poczuł się zażenowany dotacją, więc zagadnąłem go jeszcze.

– Jak żyjesz, brachu?

– Pełnią życia! Dziwki i alkohol – odrzekł z ujmującą prostotą. – A co u ciebie?

– Obowiązki i robota!

I tak dokonawszy zwięzłego podsumowania swojego życia, oddaliłem się nieśpiesznie w stronę samochodu.

Mietek odprowadził mnie wzrokiem i patrząc ponuro spode łba, rzucił w przestrzeń:

– Ale się chłopak zmarnował...



Nie zastałem mamusi. Otworzyłem drzwi swoim kluczem. Zawsze był i jest przytroczony do breloczka w kształcie latarenki. Nie pozostaje mi nic innego, jak poczekać na moją rodzicielkę. Pewno daleko nie poszła. Wstąpiłem zatem w opuszczone progi swojego rodzinnego domu i odbyłem krótkotrwałą walkę wewnętrzną: czy rzucić się najpierw na lodówkę, czy od razu na kanapę. Wybrałem lodówkę. Zmiotłem z powierzchni ziemi gulasz wołowy. Wyśmienity! Palce lizać!

Starannie wyskrobałem garnek (że też zawsze mi się musi przyplątać jakieś zawodowe skojarzenie) na tyle dokładnie, że ostatnie kęsy zjadłem chyba razem z odpryskami emalii. I tak pośpiesznie, że dopiero zeżarłszy tę mięsną poezję, zauważyłem miseczkę z kopytkami. Objąłem ją czule i poczłapałem przed telewizor. Od kilku miesięcy nie interesowałem się, jakimi sprawami żyje ludzkość, to sobie pooglądałem. Na jedynce jakaś pani ubrana w stanik i majtki tarza się po łóżku i przekonuje naród, że stanik i majtki przyniosły jej poczucie luksusu. Prawdopodobnie uprzednio była bardzo biedna. Na tefalenie jacyś państwo kopulują. Na Polsacie jacyś państwo kupują. Na dwójce relacja z przygotowań do Festiwalu Gwiazd w Międzyzdrojach. Dziwne. Nazywa się Festiwal Gwiazd, a przyjechały same aktorki (w większości zresztą aktorki jak z koziej dupy trąba).

Wyłączyłem. I wsłuchałem się w ciszę. Tak cudownej ciszy nie słyszałem co najmniej od kilku miesięcy. Ani w domu, ani w pracy. Długo słuchałem z melomańską rozkoszą. A potem zasnąłem.

Klucz w drzwiach zachrobotał. Dotarło do progu mojej świadomości, że mamusia wraca, ale nie miałem sił, aby rozewrzeć powieki. Zaraz jednak poderwałem się jak oparzony, bo poczułem, że mamusina dłoń próbuje miziać mnie po policzku.

– Tomaszku, wróciłeś?!

Nieuzasadniona nadzieja wibrowała w mamusiny głosie.

– Jak to „wróciłeś”? To chyba ty wróciłaś – wymamrotałem zaspanymi jeszcze głoskami. – Jezus Maria! Prawie jedenasta. Musiałem spać ze trzy godziny. A gdzie ty, mamusia, łazisz tak późno?

– Próba chóru. Do świętej Katarzyny chodzę. *Sirenae Varsovienses*. A co? Gdybyś częściej tu zaglądał, wiedziałbyś...

Nieźle mnie zaskoczyła. Wiedziałem, że mamusia lubi zabierać głos, ale raczej w cudzych sprawach. Zresztą za nic nie mogłem sobie jej wyobrazić w chórze. Przecież tam należy otwierać i zamykać usta na określonej komendę.

Mamusia zaczęła się krzątać po kuchni, a ja ocknąłem się już na tyle, żeby przypomnieć sobie o prezencie przytarganym ze szpitala. Wyjąłem z kieszeni minutnik w kształcie czerwonej papryki i nastawiłem alarm za osiemnaście minut.

– Chodź, usiądź ze mną – poprosiłem.

Mamusia wytarła ręce w kraciastą ściereczkę i z namaszczeniem rozstawiła kubki z kompotem.

– Coś tu tyka? – Rozejrzała się badawczo po swojej przestronnej kuchni.

– Zegar tyka. Wszystkich – odpowiedziałem Lecem i wyjąłem zza pleców prezent. – *Voilà*. Minutnik dla ciebie. Na Dzień Matki.

– Pamiętałeś, syneczku...

Mamusia wyraźnie zaczęła się rozklejać podczas oglądania tykającej czerwonej papryczki.

– Zostaw sobie te wzruszenia, mamusia, na potem. Mam dla ciebie wielką nowinę: będę miał dziecko.

Twarz mamusi zastygła w nieodgadnionym grymasie. Troszkę przyżółkła, a potem pozieleniała. Cisza. Nic. Nul. I tylko idiotyczna czerwona papryczka czyniła swoją tykającą powinność. Kiedy już mamusine milczenie zdawało się trwać bez końca, zagałem:

– Wiesz, mamusia, w tego rodzaju przypadkach jest w zwyczaju złożyć gratulacje. – Nie zauważyłem jakiegokolwiek reakcji. – Bardziej od ciebie doświadczone teściowe mogłyby nawet zdobyć się na pytanie o zdrowie synowej. – Postanowiłem nie odpuszczać. – Dasz radę! Spróbuj!

– Dziecko? W jej wieku?! Ona jest od ciebie starsza. – Przeciśnięte przez zęby słowa zawisły nad stołem.

– Twoja wyczekana synowa ma na imię Miłka. Nie mów per „ona”, dobrze? – Chlusnąłem sarkazmem. – Starsza jest raptem o półtora roku. A jak się boisz, że urodzi debila, to mogę cię, mamusia, pocieszyć. Mnie urodziłaś w dwudziestym ósmym roku życia, a też nie jestem specjalnie rozgarnięty...

– Co ty w ogóle mówisz?! – Mamusia przysłoniła twarz kraciastą ściereczką. Najwyraźniej przegrała walkę ze swoimi emocjami, więc przestała cokolwiek udawać. – To wszystko jest dla mnie za... szybko. Ożeniłeś się na łapu-capu!!! Nawet nie spytałeś, co ja o tym... – Cisnęła ściereczką o kaloryfer. – Ona ma dzieci, przeszłość, a teraz jeszcze ciąża! Nie tak... sobie... wyobrażałam...

Schyliłem się i podniosłem ściereczkę. A mamusią co chwila wstrząsał powstrzymywany dotychczas szloch. Wstałem z krzesła w celu odbycia krótkiej rundki po mieszkaniu. Zawsze lubiłem nocną panoramę Warszawy z okien rodzinnego domu. Po paru minutach wróciłem do kuchennego stołu.

– Byłeś najzdolniejszy na roku, Tomaszku – wychlipała złamanym głosem. – Doceniliby cię w pracy prędzej czy później. Wziąłbyś sobie jakąś panienkę za żonę. Ja bym ją wszystkiego nauczyła...

– O ho, ho!!! To znaczy czego???

– Nooo... gotować i w ogóle... – Niedbałym gestem mamusia wskazała na wylizany garnek po gulaszu, widomą oznakę mojego głodu i łakomstwa. – Za moich czasów kobiety wiedziały, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek.

– Niektóre kobiety znają, mamusia, krótszą drogę.

Staralem się ją speszyć.

Bezskutecznie.

Zignorowała moją wypowiedź. Jak zazwyczaj.

– Wspomnisz moje słowa. Ty jeszcze dojdiesz z wiekiem do rozumu, synciu.

– A jakoś do ciebie, mamusia, wiek przyszedł sam. Bez rozumu.

Na półpiętrze, obok skrzynek pocztowych, usłyszałem przeraźliwy dźwięk zdetonowanej papryczki wzmocniony o wrzask przestraszonej mamusi. Pewno się biedaczka strasznie wylękała.

O czymś sobie przypomniałem. Żeby oszczędzić siły i nie wracać na górę, nacisnąłem guzik domofonu.

– Jest jeszcze jedna sprawa, mamusia. Nie zapomnij o Dniu Dziecka. Przynieś coś dla Hani i Antosia. Zadaj sobie trochę trudu i udawaj babcię. Zależy mi.

Dobrnąłem do skody wyczerpany, ale w poczuciu spełnionych obowiązków. „Dzień święty święcić oraz czcij ojca swego i matkę swoją”. Sięgnąłem do schowka po telefon. Prawie wpół do pierwszej. I cztery nieodebrane połączenia od Miłki plus jeszcze jedno ze szpitala. Kwadrans później, w domu, przywitało mnie pełne podejrzeń spojrzenie żony i pytanie z cyklu „klasyka gatunku”.

– Gdzie byłeś?

Hospody, pamiętaj!!!

Kapsułka piąta

29 maja

Złapałem się za wrywanie badyli w ogródku. Niespecjalnie mam serce do takiej roboty, ale ruch na świeżym powietrzu dobrze mi robi. Za swoje dotychczasowe największe osiągnięcie ogrodnicze uważam niezasuszenie sansewerii w moim kawalerskim mieszkaniu na Żoliborzu. Boże, jeszcze pół roku temu mieszkałem sam ze swoimi dziwactwami i nie miałem rodziny. Jakże odmienne życie wiodłem od obecnego... Mamusia przychodziła w środy sprzątać. A może ona podlewała tę sansewerię? Kto ją tam wie? Zresztą nie jest wymagająca. Roślina! Bo mamusia jednak nie należy do najłatwiejszych we współżyciu...

Moje nostalgiczne rozważania przy tępieniu chwastów przerwał chropowaty głos, nie do pomylenia z żadnym innym. Regina Goździkówna, sąsiednia posesja, Kopenhaska 22. Miałem już zaszczyt poznać sąsiadki Hornwaldów (tymczasowo także moje). Nasze ogródki oddziela zwykła metalowa siatka. Za siatką – sąsiadka. Obok Reginy, jak zawsze, niższa z sióstr – Irena.

– Dzień dobry paniom! – Spojrzałem wyczekująco.

Wiedziałem, że nie czeka mnie miła pogawędka z duetem Goździkówny Sisters.

– Państwa chłopiec kopnął piłkę do naszego ogródka!

Zauważyłem, że nigdy nie używają imion, kiedy mówią o dzieciach.

– Nogą kopnął! – wypluła z siebie niższa z takim obrzydzeniem, jakby Antoś przerzucił przez płot co najmniej zdechłego szczura.

– A czym miał kopnąć? – Jezuuu, ja czasem szybciej coś powiem niż... – To jest: Bardzo panie przepraszam! Antoś jest energicznym chłopcem. Pewno grał sobie po prostu... – próbowałem ratować sytuację.

– W rabatę z truskawkami trafił. – Obie patrzyły na mnie ze zgrozą. – Hodujemy wczesną odmianę Elianny – uraczyła mnie istotnym szczegółem Irena.

– Bardzo panie przepraszam – usiłowałem im przerwać, bo zaraz mi zaczną opowiadać o składzie chemicznym użytych nawozów.

– Dwa krzaczki zniszczone doszczętnie! – orzekła Regina.

Zapadła taka troszeczkę krępująca cisza.

– Może odbiją? – ostrożnie wysunąłem śmiałe założenie.

– Co? Co mówi? – spytała jedna z sióstr drugą, tę mniej głuchą.

– Że może odbiją, mówi – ryknęła Regina w ucho Irenie.

– Im chyba odbiło – powiedziała niby szeptem Irena. – Żeby tak chłopca

rozpuścić. Dziecko powinno znać mores!



Zamierzałem skosić trawnik. Goździkówny Sisters zainspirowały mnie jednak do zmiany planów. Powędrowałem na róg Lipskiej i Francuskiej. W weekendy przychodzi tam przemily starszy pan i rozkłada swój maleńki kramik – owoce i kwiaty z pobliskiej działki. Dopisało mi szczęście. Miał truskawki. Kupiłem półkilowy pojemniczek. I bukiet konwalii.

Moim zdaniem mademoiselles Goździkówny grubo przesadzają. Psychiatrycznie wygląda mi to na brak syntonii z otoczeniem oraz zespół dysforyczny. Dzisiejszy „incydent” jest trzecim z kolei w niedługiej historii naszych sąsiedzkich stosunków. A to Hania zerwała morelę (jedną! i to z gałęzi rosnącej po naszej stronie), a to Antoś „przygniótł” tulipana papierowym samolocikiem, a to... ciąg dalszy – obawiam się – nastąpi. W żadnej dotychczasowej aferze nie mogłem się dopatrzeć realnych strat poza stratą mojego czasu na wysłuchiwanie historii o rzekomo źle wychowanych dzieciach. Mam jednak dobry humor i spróbuję zadośćuczynienia. Może zdołam pokonać regiment Irena–Regina agresywną dobrocią?

Furtka była niedomknięta. Wszedłem więc na posesję przy Kopenhaskiej 22 i podążyłem w stronę willi klocka. Tuż za furtką przyplątała się malutka suczka, norfolk terrier, i ochoczo wskazała mi drogę do swoich właścicielek. Zapukałem. W drzwiach pojawiła się Irena. Ta głuchsza.

– Jeszcze raz panie przepraszam! – huknąłem, aby miała szansę mnie usłyszeć. – Kupiłem truskawki dla pań w zamian za te zniszczone krzaczki.

– Cooo? – Irena wychyliła się w moją stronę, założywszy dłoń za ucho.

Wyhuczałem wszystko jeszcze raz, głośniejsze, ale zorientowałem się, że musiała zdjąć aparat słuchowy, bo niczego chyba nie usłyszała. Patrzyła z obrażoną miną na moje truskawki i coraz prędzej ruszała żuchwą (zespół niespokojnej szczęki?). Nie bardzo wiedziałem, jak wybrnąć z sytuacji.

Zaczęło do mnie docierać, że genialny pomysł na poprawienie stosunków bilateralnych za pomocą truskawek może być trudniejszy w praktyce, niż zakładałem. Usłyszałem kroki i po krótkiej chwili dołączyła do nas Regina. Wygłosiłem więc po raz trzeci swoją przemowę i w geście przyjaźni wyciągnąłem rękę z owocami. Serdeczna dłoń zawisła w próżni. Regina przybrała równie odpychający wyraz twarzy jak jej siostra. Skrzywiła się i bąknęła:

– Pan to zabierze. Zielone to jakieś takie... Pryskane na pewno. Diabli wiedzą skąd...

Tylko suczka poszczekiwała radośnie w moją stronę. Ona jedna w tym domu

okazała jakieś ludzkie uczucia. Nachyliłem się, aby ją pogłaskać. Ale to także nie zostało dobrze przyjęte.

Usłyszałem nad głową głos Reginy.

– Krusia, psineczko, nie liź pana doktora po mordzie!

Też chyba zacznę rozmyślać o mordzie. Podwójnym.

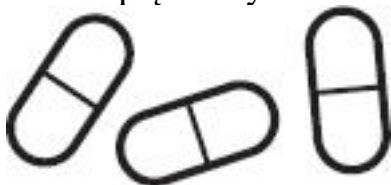
Kapsułka szósta

1 czerwca

Odkąd parter szpitala został wyremontowany i wypowiedziano umowy niemal wszystkim sklepikarzom, wszelkie artykuły rozlały się na zewnątrz budynku.

Teraz co rano już na parkingu wita mnie widok damskich i męskich gaci oraz rozmaitych plastikowych akcesoriów do nie wiadomo czego. Na wietrze łopocą niczym szpitalna flaga damskie haleczki we wszystkich rozmiarach. Niczego na tym bazarze różności nie szukałem i niczego nie spodziewałem się znaleźć. A jednak! Między wejściem głównym a parkingiem zobaczyłem dziś młodego człowieka, który handlował mieczami świetlnymi. Identycznymi jak w „Gwiezdnym wojnach”! Podeszedłem bliżej i chwyciłem najbliższy miecz. Klinga zamigotała na niebiesko. Ale można też przełączyć na żółty lub zielony. Aleee czaaaad!!! Przekręciłem małą tarczę na rękojeści. Zadziało! Prawdziwy regulator Mocy. Zupełnie oszalałem! Mój Boże, gdybym te dwadzieścia (no dobra, dwadzieścia z okładem) lat temu miał taki miecz, to chyba oszalałbym z radości. Gwałtownie wzrosłaby moja atrakcyjność towarzyska. Ale cacko. Bomba. I tylko dwadzieścia trzy złote.

Kupię! Oczywiście dla... Antosia.



Przyszedłem do domu w sam raz na obiad. Rzadkie to chwile, gdy możemy usiąść wszyscy razem przy stole. Dzisiaj był komplet, a nawet pewna nadwyżka. Hania zaprosiła na zupę brokułową i pierogi z soczewicą niejakiego Kubę, z klasy IIIc. Młodzieniec wyskrzeczwał „dzień dobry” cienkim dyszkanciem, wsiorbał zupę, grzecznie powiedział „dziękuję” basem i udał się z Hanią do jej pokoju. Dziś, w Dniu Dziecka uświadomiłem sobie, że nasza Hania to już nie jest dzieciak. Zmienia się w dużą, śliczną dziewczynę...



Po obiedzie wręczyłem Antosiovi miecz świetlny.

– Moc jest z tobą, młody Skywalkerze! – powiedziała moja żona w kierunku synka.

– Oglądałaś „Gwiezdne wojny”?! – Ucieszyłem się jak dziecko. – Ale mnie zaskoczyłaś! Myślałem, że dziewczyny tego nie lubią... Ja się na tym wychowałem.

– Oglądałam, chociaż dawno, dawno temu, w odległej galaktyce. I nie raz cię jeszcze zaskoczę! – odparła.

Chwyciłem ją w pasie. Odwzajemniła uścisk.

– Nie przytulajcie się tak mocno – Antoś wkroczył do akcji – bo jeszcze zrobicie nową ciążę od tego przytulania...

– Prawda! – przyznałem dziecku rację.

Zaczęliśmy sprzątać ze stołu.

Kiedy Miłka rozłożyła świeżą serwetę, usłyszeliśmy energiczne pukanie do drzwi. Mamusia!

Próbowaliśmy się integrować, rozmawiać i ogólnie udawać ze wszystkich sił, że jesteśmy przykładną rodziną oraz że wszyscy za sobą przepadamy. Każdy za każdym. Orz że bawimy się wyśmienicie. I nic nas tak nie cieszy jak niewymuszona rodzinna atmosfera.

Sprawa okazała się o tyle trudniejsza, że towarzyszył nam gość niezaproszony – kuzyn mój i mamusi, Jerzyk Zemła. Podobno akurat wpadł do mojej mamusi z wizytą, a ona z kolei wpadła na pomysł, aby podwiózł ją do nas, na Saską Kępę. Hm... coś mi się nie wydaje. Najprawdopodobniej cała akcja została starannie wyreżyserowana przez mamusię. Zachodzę w głowę, jak to jest, że ledwo pamiętam Jerzyka z dzieciństwa. Nie mieliśmy z jego rodziną żadnych kontaktów i całkiem niespodziewanie, parę miesięcy temu, wykwitła intensywna przyjaźń między mamusią a tym cwaniaczkiem. Sam nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić!

Nie bardzo mogę pojąć, jaką kartą gra mamusia. Czy używa Jerzyka jako warstwy ochronnej, chce go usynowić; czy też próbuje mnie wydziedziczyć albo wzbudzić we mnie zazdrość?

Dziwna sprawa.

Jerzyk jakby wyczuł, że moje myśli krążą wokół jego niedużej osoby, bo zerwał się i powiedział, że wychodzi i wróci za półtorej godziny po stryjenkę, czyli moją mamusię rodzoną. A teraz koniecznie musi odwiedzić kolegę – producenta filmowego, dwie przecznice dalej, na Lizbońskiej. Bo interesy robią. Odprowadziłem Jerzyka do drzwi. To niesamowite, ten człowiek pół roku temu sprowadził się do Warszawy, nie znał tu literalnie nikogo, pomieszkiwał kątem w moim kawalerskim mieszkaniu. Teraz, ilekroć go widzę (za często!), opowiada coś o rozmaitych kontaktach, wtykach i biznesach (za każdym razem o innych). Można przypuszczać, że konfabuluje, ale z pewnością prawdziwe są samochody,

którymi jeździ, coraz lepsze garnitury, zegarki i inne zabawki... Życie nie przestaje mnie zaskakiwać!

Miłce udało się trochę rozruszać mamusię, dała jej do obejrzenia skany z USG w 12. tygodniu (bo połówkowe badanie dopiero przed nami, w przyszłym tygodniu) oraz objaśniła, że na razie roboczo nazywamy maleństwo Zygotą Szroniewską. Mamusia przeraziła się nieco, ale jakoś zdołałem ją uspokoić króciutkim wykładem z embriogenezy i zapewniłem solennie, że nasze dziecko po narodzeniu dostanie chrześcijańskie imię.

Szło niezbyt zręcznie. Moja rodzicielka od dłuższej chwili wpatrywała się w Antosia, a w końcu sformułowała sztapkowe pytanie:

– Chciałbyś braciszka czy siostrzyczkę?

– Ja??? – Młody chciał się upewnić, do kogo ta mowa. – Ja to bym chciał X-boksa.

Mamusia przetrawiła informację. Domyśliła się, że chodzi o jakiś gadżet z nieznanego jej świata, i wypaliła:

– Kupię ci, skoro chcesz.

– To się ubieraj! – Podskoczył Antoś. – Zaprowadzę cię do sklepu!

I niewymuszoną rodzinną atmosferę diabli wzięli! Godzina odkręcania... Trzeba było wytłumaczyć dziecku, że nie zgadzamy się na X-boksa. Nie zgadzamy się, nawet jeżeli babcia zaoferowała. Zaoferowała, bo nie wiedziała, co to jest („Praw-da, ma-mu-siu?!”). Powinna była uzgodnić z nami. W tej sytuacji mamusia strzeliła focha, że nie może nawet kupić dziecku prezentu, „a wy chcecie wszystkim ręcznie sterować”. Miłka ze swoimi rozhuśtanymi hormonami napięła się jak struna i patrzyła na mnie wściekłym wilkiem. Moja mamusia jeszcze raz to samo, że z jej zdaniem to nikt się nie liczy. Antoś, że Igor i Wojtek mają, a on nie ma. I że jak jesteśmy „tacy”, to on się odda do adopcji lub w najlepszym razie przeprowadzi do Igora („Ale nie będziecie mogli mnie odwiedzać!”). Tymczasem wypróbował wariant: pobeczeć się, pochlipać i smutno patrzeć w dal (nigdy nie zaszkodzi, a niekiedy działa).

Hania i jej kolega przemknęli jak cienie przez salon do wyjścia. Miałem silne wrażenie, że Hania troszeczkę wstydzi się swojej rodziny. Na schodach minęli się z Jerzykiem, który błysnął swoją zwoleńską mądrością: „Z gości dwie radości: jak przychodzą i jak wychodzą!”.

Kapsułka siódma

3 czerwca

Zerwałem się jeszcze wcześniej niż zazwyczaj, bo obiecałem, że zostawię Miłce samochód. Musi dostarczyć jakieś kwity do swoich kadr (w związku z telepracą), kupić ciężowe ubrania i takie tam babskie sprawy. Nie ma co czekać. Brzuch rośnie mojej żonie w takim tempie, że za chwilę nie będzie w stanie wcisnąć się za kierownicę. Chyba że całkiem wyjąłbym przedni fotel... Ale ten wariant nie do końca wydaje mi się bezpieczny. Wiem, bo dostałem kapciem, kiedy jej to powiedziałem.

Antoś wprawdzie nie ma najmniejszych problemów ze wstawianiem około szóstej, ale bez zrozumienia odniósł się do ранego popędzania jego osoby. Prawie każdego ranka przypomina mi, że nie musimy pędzić do przedszkola, bo przecież czynne jest do siedemnastej. Uważa, że ja tym bardziej nie powinienem spieszyć się do szpitala, skoro jest czynny właściwie przez cały czas...



Przed trzynastą skończyłem operować, zszedłem z bloku i przeczytałem SMS-a od Pawła Skórskiego. Napisał mi, że u nich, w Józefowie kładą jakieś nowe rury i że ulica Bławatków jest nieprzejezdna. Wjazd na posesję Skórskiego opłotkami od Staropolnej. Całe szczęście, że przyszedł ten SMS, bo na śmierć zapomniałem, że jesteśmy dzisiaj umówieni. Wiedziałem, że z jakiegoś powodu mam wolne popołudnie, ale nie pamiętałem, z jakiego...

A sprawa jest ważna! Skórski ma półtoraroczne bliźniaczki. I podobno można przejąć po dziewczynkach masę sprzętu: foteliki, leżaczki, nosidełka, kołyski, cały asortyment wózków z różnymi stelażami, wanienki, śpiewające maty edukacyjne, chodziki, kojce, podgrzewacze, detektor oddychania (profilaktyka SIDS), przewijaki, elektroniczną nianię (nie wiem, co to jest, ale Skórski mówi, że się przydaje). To wszystko musi kosztować mnóstwo pieniędzy!

Wprost nie do uwierzenia, że przed laty, kiedy rozpoczynałem na medycynie praktyki studenckie, świeżo upieczone matki potrzebowały dla swoich niemowląt śpioszków, pieluch i babcinej rady. Ale to se ne wrati...

Pozostaje się cieszyć, że Skórski, dowiedziawszy się o tym, że spłodziłem potomka, zaoferował mi cały ten kram za darmo, a nawet cieszył się, że ma komu upchnąć towar, oraz że w willi na Kopenhaskiej jest dość miejsca na te wszystkie

fanaberie.



Przed piętnastą dotarłem do domu. Miłka najwyraźniej zdążyła pozalać swoje sprawy. Wycieczka musiała jednak dać jej w kość. Śpi w salonie na kanapie snem sprawiedliwego. Delikatnie wyjąłem jej z ręki pilot od telewizora. Nawet nie drgnęła. A na ekranie młody Olbrychski przypadkowo, acz nieodwołalnie rozkochiwał w sobie kolejne panny z Wilka. Co na którą popatrzył, to ona fik i leży nieżywa z miłości lub przynajmniej leży i czeka na miłość, zerkając niedwuznacznie w stronę młodego Olbrychskiego. A on chodzi i udaje, że nie wie, o co chodzi. Wyłączyłem Olbrychskiego i postanowiłem wcześniej pojechać w kierunku Józefowa. Prawie nie znam linii otwockiej, przejadę się trochę.

Pokręciłem się z pół godziny po Falenicy i Radości. Zobaczyłem, jak w olbrzymich willach pośród sosen żyją zaradni obywatele. Dotarłem w końcu do Józefowa, wysiadłem z auta, przeszedłem kilka przecznic. Na mojej drodze wyrósł dom tak dziwaczny, że nie byłem w stanie pohamować ciekawości i bezwstydnie gapiłem się na niego ponad żywopłotem z bukszpanu. Bryła mieszkalna mieściła w sobie bardzo wiele elementów ozdobnych, które ludzkość wymyśliła w różnych miejscach i epokach od zarania świata. Ryzalicik, kolumienka, akroterion, pilasterek, gzymsik... A ukoronowaniem wszystkiego była fontanna. Pod fontanną usiadła biuściasta szatynka. Scenka żywcem jak z Hrabala! „Adwokat Kir wybudował sobie willę koło sądu z wodotryskami, palmami i marmurową kolumną (...) jego małżonka wołała biednego studenta niczym w jakiejś operetce, wszystkie te bogate paniusie pełne są romantyzmu...”. Z tą jednak różnicą, że nic nie wskazywało na to, aby szatynka wołała kogokolwiek biednego. Doskonale komponowała się z kiczowatym luksusem. I jak w teatrze, w odpowiedniej chwili przed willę zajechał czarny mercedes „S”, z mało dyskretnym srebrnym napisem na tylnej szybie: Kancelaria Notarialna. W.Z. Kwadracik. Z auta wyszedł spasiony kurdupel o sylwetce zgodnej ze swoim nazwiskiem i wylewnie przywitał się z szatynką. Uznałem, że dłużej nie powinienem się gapić. Czas jechać do Skórskich.

Wyjeżdżałem z podporządkowanej. Kątem oka dostrzegłem białe alfa romeo z przyciemnionymi szybami. Miała pierwszeństwo... A potem rozległ się potężny huk.

Kapsułka ósma

4 czerwca, ciężka noc

Dwukrotnie już wybierałem numer Patisona, ale bez powodzenia. Za trzecim razem po słowach „Doktor Patycki, zostaw wiadomość” z niechęcią zostawiłem lakoniczny komunikat: „Cześć. Miałem wypadek. Leżę w szpitalu ortopedycznym w Otwocku”. Po kwadransie Patison oddzwonił.

– Dzwoniłeś? Sorry, nie odbierałem, bo coś mi wypadło.

– To raczej mi wypadło! Miałem wypadek. Nawet nie odsłuchałeś, co do ciebie mówię – jęknąłem.

– Ty? Wypadek? – Patisona zatkało. – Nie rób sobie ze mnie jaj. Nie wypada żartować z wypadków.

– Przestań z tym wypadaniem! Stłuczkę miałem. Przywaliłem skodą w alfę romeo. Dwóch smarkaczy jechało. Obaj napruci jakimś wińskiem. Ale nic im się nie stało. Zresztą to ja w nich...

– I?

– I rozwaliłem sobie lewą nogę.

– Zaraz, czekaj, Termos. – Patison jakoś nie mógł złapać kolejności wydarzeń. – Ale to ty na trzeźwo w tych gówniarzy?

– Oczywiście, że na trzeźwo. Głupie pytania zadajesz. Nie jeżdżę przecież po alkoholu. A teraz się, Patison, skup. W sobotę o czternastej Miłka ma półwkowe USG, na Sadybie. Sytuacja jest trudna, ale masz ją uspokoić, pocieszyć i dowieźć tam i z powrotem.

– Jasne! Robi się. W zasadzie sam jej mogę...

– Nie, nie Patison, dziękuję! Ja też sam mógłbym, ale ona nie chce. Woli chodzić do swojej lekarki... Jednym słowem nie waż się jej dotykać!

– O Jezus, co ty taki nerwowy jesteś?

– Gdybyś wiedział, jak doszło do tego wypadku... Jutro ci powiem – spuściłem z tonu.

– Weź tam, wyluzuj w tym szpitalu, chłopie, bo ci się kulas nie zagoi. Po robocie przyjadę do ciebie, to cię potrzynam za rączkę.



No i przyjechał. A w zasadzie zwalili się silną, czteroosobową grupą: Patison, Drewnowski, Skórski i Katarzyna, moja nowa stażystka.

– Macie dla mnie jakieś żarcie? – Popatrzyłem kolejno po wszystkich twarzach.

Kasia od razu poderwała się ze stołka. Zauważyła, jak nadjeżdżali od strony Świdra, że tuż za rogiem jest duży sklep spożywczy. Powiedziała, że mam poczekać chwilę, złapała torebkę i poszła.

– Co ty, głodny jesteś?! – Patison był tak zdumiony, jakbym właśnie akurat znajdował się na polskim weselu, a nie w polskim szpitalu.

– No nie, no wcale! Tak się wczoraj wstydu najadłem, że teraz mogę pościć chyba z tydzień.

– Że samochodem nie umiesz jeździć? Tego się wstydzisz? – zapytał Władzio.

– Sam nie umiesz jeździć, baranie – ofuknąłem Władzia.

Zawahałem się chwilę, ale w końcu nabrałem powietrza i powiedziałem im prawdę.

– Myślałem, że hamulce poszły w mojej skodzie. Robię przeglądy, ale samochód jest tak stary, że zdawało się to prawdopodobne... – Zaswędziała mnie moja złamana kończyzna. – Wcisnąłem pedał hamulca i nic. Zahamowałem skutecznie dopiero na alfie romeo. Rozjebałem sobie nogę. Po dwudziestu minutach przyjechała policja. Taki jeden anemiczny starszy aspirant zajrzał do wozu, no i znalazł żółwia pod pedałem hamulca.

– Cooo? Żółwia?

Władzio Drewnowski wytrzeszczył oczy jak kot srający w sieczkę.

– No, żółwia greckiego czy tam tureckiego. Pies go drapał! – Poprawiłem sobie poduszkę na łóżku. – Wczoraj rano zostawiłem Miłce samochód. Była w zoo z jakimiś papierami. Jak wychodziła, zobaczyła pod bramą tę pieprzoną skorupę. Bo ludzie często, jak im się znudzi zwierzątko, podrzucają pod bramę zoo. Taki, kurwa, genialny sposób, żeby się pozbyć słodkiego pupilka! Miłka wsadziła skorupę do pudełka po butach i postawiła na podłodze, przy kanapie z tyłu. Ale zapomniała wyjąć, kiedy wróciła do domu. Potem ja wzięłem samochód i – popatrzyłem w oczy Pawłowi Skórskiemu – pojechałem do ciebie.

Gdy skończyłem, wszyscy moi trzej koledzy umilkli w jakiejś nieokreślonej zadumie.

– Uczcijmy minutą ciszy naszego kolegę, panowie – odezwał się Władek – bo nagrody Darwina to on nie dostanie, ale był blisko...

– Mogłeś sobie oszczędzić. – Popatrzyłem zde gustowany na Władka.

– Sorry, stary – prychnął Władzio i wszyscy trzej zaczęli głośno rzeć; Patison najgłośniej.

Czy jest na sali lekarz?

Kapsułka dziewiąta

5 czerwca

To jakaś metamedycyna jest normalnie. Doktor leżący w szpitalu w roli pacjenta to coś jak pisarz, który pisze książki o pisaniu książek. Albo Święty Mikołaj piszący listy do Świętego Mikołaja. W każdym razie dziwadło jakieś na pewno. Leżę z wyciągniętą nogą i rozmyślam o życiu. W sumie nawet do pewnego stopnia podoba mi się taki urlop od istnienia.

Zapatrzyłem się tępo na ścienny zaciek obok drzwi, nad futryną. Wygląda jak Korsyka. Kiedy dostałem się na studia, pojechaliśmy z mamusią na tydzień do Porto-Vecchio. Ależ to było dawno... Właściwie pamiętam z tej wycieczki tylko plażę, kościste kobiety i ościste ryby. Nie bardzo mi smakowały...

Martwię się trochę o mamusię. Nie kontaktowałem się z nią od poniedziałku. Zadzwoiłem do niej wczoraj i najdelikatniej, jak się dało, powiedziałem, że okresowo przebywam w Otwocku (wilegiatura! prawie jak przedwojenna inteligencja...) w celu poskładania w jedną całość mojej nogi lewej. I że miałem zabieg. W sumie wolałbym jej nie przysparzać kłopotów, ale mogłaby się skądinąd dowiedzieć i byłby z tego większy gips (*nomen omen*), niż jest teraz. A i tak miała pretensje, że nikt jej od razu nie poinformował.

Zjawiała się przed południem. Błada i wymęczona, ale nieprzejednana w swoim pomyśle, aby na mojej osobie stosować autorską terapię nadopiekuńczych matek: rosół i perswazje.

– Zjedz, Tomaszku, rosólek. Postawi cię na nogi!

– Oj, tu mamusia trochę przesadziłaś z optymizmem.

– Zjedz, proszę cię, syneczku, póki jeszcze dobrze ciepły. – Mamusia na zachętę odkręciła nakrętkę z litrowego słoja. – Bo zimne to niedobre. Rosólek smakuje, jak ciepły.

– Mamusia!!! Ja golenie połamalem, tak? A nie wpadłem w jakieś głębokie upośledzenie. Przemawiasz do mnie jak do czterolatka specjalnej troski.

Chciałem, to mam. Mogłem do niej nie dzwonić... Ale chyba się złamię (tfu! już w czwartek się złamałem, bardziej nie trzeba...) i skosztuję rosółu. Pachnie odurzająco! Sięgnąłem po łyżkę.

– Synku, ze świeżych kogutków gotowałam. Mówię ci, prześliczna rasa, sebrytki się nazywają. Jerzyk mi przywiózł ze Zwolenia.

– O! To już mi stoi kością w gardle, zanim spróbowałem. – Odłożyłem łyżkę.

A z mamusi jakby zeszło powietrze. Dolna mamusina warga na kilka sekund

wpadła w niepokojące wibracje.

– Syneczku, tyle nieszczęścia... Serce mi pęka, że ty tak cierpisz... Gdybyś mógł wypoczywać po pracy, jak dawniej... To z nadmiaru obowiązków ci się zdarzył ten wypadek. Przemęczony jesteś! Ja się boję, że ty życie sobie złamałeś...

– Mów mi dalej, jaki ja jestem. – Omal nie warknąłem, ale mamusia patrzyła na świat z taką żalnością, że jakoś się opanowałem i podjąłem próbę skierowania rozmowy na inne tory. – Za sześć tygodni będę jak nowy. A jutro dowiemy się, czy Zygota Szroniewska jest chłopcem, czy dziewczynką.

– A ona w ogóle była u ciebie? – Mamusia wypaliła zniechęta.

– Ona? Masz na myśli moją żonę, mamusiu? – Znow musiałem się opanować. – Miłka była z dziećmi. W nocy, zaraz po wypadku, ale zabroniłem im przychodzić. Za trzy-cztery dni pewno będę w domu. Ostatnia rzecz, jaka mi teraz potrzebna w rodzinie, to zakażenie szpitalne.

Sprężystym krokiem do sali numer 16 wmaszerował Patison.

Pomyślałem, że to szczęśliwy zbieg okoliczności. Mamusia może jakoś weźmie się w garść w towarzystwie i przestanie biadolić.

Patison rzucił na łóżko papiery od profesora Łatki i automatycznym gestem zdjął z łóżka moją kartę gorączkową.

– O, masz gorączkę! – zauważył.

– No. Bo ja wysoko mierzę! – Usiłowałem żartem zbagatelizować sytuację, żeby nie dobijać mamusi. – A ty odłóż nie swoją dokumentację medyczną. Nie jesteś uprawniony.

W odpowiedzi mój przyjaciel połaskotał mnie w podeszwę. Prawdopodobnie zauważył także, że mamusia nie w formie.

– Pani się tak nie martwi, pani Heleno! – Wyszczrzył zęby. – Noga, stwór homologiczny, znaczy się parzysty. Jak go wypiszą – skinął głową w moją stronę – z tego szpitala, to będzie se mógł podskakiwać na jednej nodze.

– Patison?

– Co?

– Ty lepiej sam nie podskakuj, bo wiesz ręce mam zdrowe.

– Heee, to musiałbyś mnie sięgnąć, bratku.

Zaraz potem Patison wdał się w gorącą dyskusję z mamusią na temat moich rokowań zdrowotnych. Szło mu dobrze. Uświadomił mamusi, że istnieją bardziej skomplikowane przypadki medyczne od połamanej nogi (nawet jeśli wystąpiło złamanie awulsyjne). I że w zasadzie kości mają tę właściwość, że się zrastają. Autorytet medyczny w postaci mojego przyjaciela zdawał się korzystnie oddziaływać na mamusię. Ale jeśli chodzi o mnie, to byłem już zmęczony i chętnie zostałem sam na sam ze swoją nogą na wyciągu. Wiedziałem, że Patison nie posiedzi u mnie długo. Obmyślałem, jakby tu sprytnie odesłać mamusię do domu samochodem kolegi. Wyłączyłem się na chwilę.

Musiałem przegapić pytanie, bo Patison zamachał mi ręką przed oczami.

– Zapomniałem cię zapytać, gdzie on jest. Na Saskiej Kępie?

– Jezu! – Szarpnąłem się nerwowo na łożku. – Jaki „on”?! Dwa dni leżę w szpitalu, a już jest jakiś „on” na Saskiej Kępie?!

– No żółw przecież! Ten, co go, bystrzaku, pomyliłeś z pedałem hamulca.

– Pohamuj się, człowieku – precisnąłem przez zęby kilka wściekłych sylab w stronę kolegi.

Ale było za późno. Mamusia nie odpuściła. Musiałem jej pokrótce opowiedzieć, jak doszło do wypadku. Słuchała historii w całkowitym skupieniu graniczącym z nieobecnością. Zapadła się w siebie i milczała. Już zacząłem się obawiać, że wpadła w afazję. Ale nie. Zerwała się, zebrała swoje pakuneczki i wzgardzony rosółek. I całkowicie gotowa do wyjścia wydała z siebie krótki i treściwy komunikat.

– Nie podoba mi się to wszystko!

– Proszę zaczekać, pani Heleno!

Patison w pośpiechu ściągał marynarkę z krzesła i zaskoczony pobiegł za mamusią, nieświadomy, jak mi namieszał w życiu.

A ja, kurde, czułem, że mamusia nie powinna była dowiedzieć się o tym przeklętym żółwiu...

Kapsułka dziesiąta

6 czerwca

Salę szpitalną numer szesnaście opuścił dzisiaj mój towarzysz niedoli, mrukliwy trzydziestolatek. W cywilu piekarz. Musiał cierpieć na jakieś straszliwe deficyty snu, zapewne przez tryb życia niezgodny z cyklem fizjologicznym. Za dnia nie robił nic innego, tylko spał. Ożywał się około dwudziestej drugiej, wyciągał z szuflady telefon i gapił się w ekran długo w nocy, dopóki nie zasnąłem. Nie próbował się zaprzyjaźniać, zwierzać ani w żaden inny sposób fraternizować. A mnie całkowicie odpowiadał taki stan rzeczy.

Niemniej cieszyłem się z chwil samotności w ponurej, wąskiej celi. Na pierwszy rzut oka było widać, że izba naprędce przystosowana do standardów unijnych, czyli płyty gipsowo-kartonowe (wszędzie ten gips!) podzieliły wielką szpitalną salę na wąziutkie dwuosobowe kliteczki. Jak na mocno ograniczoną przestrzeń pomieszczenia sufit wydawał się być zawieszony nieproporcjonalnie wysoko. Może po to, żeby dusze kulawych pacjentów mogły sobie trochę pohasać...

Na korytarzu zaczął pobrzękiwać szpitalny wózek aprowizacyjny; wielkie metalowe gary głucho wybijały rytm, pryzma fajansowych talerzy – *tremolo*, emaliowane konchy z kleikiem – *con sordino*. Solo salowej Tamary rozniosło się po korytarzach: „Kolacjeee”. Zatrzymała się pod moją salą, biodrem otworzyła skrzydło drzwi i wniosła do środka beżowy kubek bez ucha oraz obtłuczony fajansowy talerz. Bez słowa postawiła tę wykwintną zastawę stołową na blacie szafki obok mojego łóżka. Cienki kompot zachlupotał, kilka kropli przelało się brzegiem i spłynęło dwoma cienkimi strużkami na stolik.

Zajrzałem do kubka. W środku znajdowała się częściowo płynna, częściowo skrzepnięta substancja. Coś jak żabi skrzek. Do zjedzenia dostałem dwie kromki białego chleba i – według zeznań salowej Tamary – smażoną kaczą wątróbkę. Może bym i zjadł, ale widok talerza przywiódł mi na myśl Franzenowski opis obiadu. Bardzo dawno czytałem *Korekty*. W głowie wciąż tkwiła fraza, (wżarła mi się w mózg wiele lat temu) o wątróbce tak wypaczonej przez smażenie, iż przypominała „starożytne poskręcane zwłoki na bagnach”. I niestety ten opis odpowiadał rzeczywistości. Został mi chleb. Zacząłem przeżuwać pierwszą kromkę, kiedy zadzwoniła mamusia.

– Co robisz? – spytała.

– Mój Boże, cóż ja mogę... w mojej sytuacji. – Przełknąłem nieprzeżuty chleb. – Leżę i trzymam nogę na wyciągu, bo tak mi trochę wygodniej...

– A wnioski? Myślisz o swoim życiu? Wyciągasz jakieś wnioski? – zagaiła zaczepnie.

– Nie, raczej nie. Nogę wyciągam po prostu. A możesz jakoś jaśniej?

– Mogę! – zasapała złowrogo. – A co, jeśli Miłka specjalnie zostawiła tego żółwia w samochodzie? Może jej właśnie o to chodziło?

Na takie *dictum* zagotowałem się wewnątrznie, przetrzymałem mamusię przy słuchawce ze dwie minuty, każąc jej słuchać narastająco niezręcznej ciszy.

– Tomaszku? – odezwała się mniej butnym głosem.

– Tak?

– Chodzi mi o to, że w życiu nie ma przypadków. Może to twoje cierpienie jest po coś? Może powinienes jeszcze raz wszystko przemyśleć?

– Doprawdy??? Jestem dziwnie pewien, że ty już wszystko za mnie przemyślałaś, mamusia...

– Żebyś wiedział! – odparowała prędko. – Ja po prostu obserwuję i widzę, co się dzieje... Nawet myśleć nie muszę.

– Rzeczywiście nie musisz, ale czasem by nie zaszkodziło!

Odpowiedziało mi przyspieszone sapanie.

– Jesteś dla mnie taki surowy, syneczku, jakbym to JA robiła ci krzywdę. – Załkała w słuchawkę. – A ja bym dla ciebie wszystko... Ja cię wesprę, bylebyś tylko się wyplątał z tego dziwnego związku.

– Dziwne jest to, że jeszcze z tobą rozmawiam, mamusia. – Zatrzęsło mną z nerwów. – I właśnie doszliśmy do tego momentu, że przestaję. Cześć.

Krew mnie załala nagłą falą, wałnąłem pięścią w guzik z czerwoną słuchawką. Uświadomiłem sobie, że mamusia nawet nie wie (nie była uprzejma zapytać!), że będzie miała wnuczkę. Dziewczynkę, moją małą córeczkę.

Złapałem telefon i z furią pierdyknąłem nim o blaszaną obudowę szpitalnego telewizora zamocowanego ponad tymczasowo pustym łóżkiem. Strzał był celny. Samsung XR05 rozpirzył się w drobny mak. Natomiast telewizor się włączył.

Czułem się psychicznie wycieńczony po rodowych waśniach (przekleństwo mojej profesji, zawsze jakiś poród zawadzi mi o myśl). Strzaskane nerwy miał uśmierzyć widok prezenterki pogody. Łagodnie falując biustem, informowała naród, że ze wschodu nadciągają gwałtowne zjawiska atmosferyczne. Niezrozumiale, jak przedszkolak bez mleczaków, wyświszczała: „Burze nad Rzeszowszczyzną”. Wymalowanym pazurem wskazała zaś na Białą Podlaską.

Mam nieprzeparte uczucie, że kiedyś, zanim wypuszczano takie panienki na wizję, to oprócz biustu sprawdzano także znajomość podstaw geografii oraz eliminowano beznadziejne przypadki logopedyczne. Ale to było dawno.

– Telefon do nas na dyżurkę był. – W drzwiach ukazała się farbowana głowa starszej pielęgniarki Teresy. – Pańska matka dzwoniła. Szroniewska się nazywa. Mówiła, że prosi o kontakt. Pilnie.

– Proszę uprzejmie wyłączyć ten telewizor. Ledwo panią słyszę – poprosiłem.

Pielęgniarka Teresa wspięła się na palce i z trudem sięgnęła czerwony przycisk. Strzeliła białkami oczu i dojrzała czarno-srebrne odłamki rozsypane po podłodze w przeciwnym – względem mojej osoby – kącie sali, głównie w nogach pustego łóżka i trochę na kołdrze.

– Komórka mi... spadła – wyjaśniłem zwięźle.

Po wysoko uniesionych brwiach starszej pielęgniarki Teresy poznałem, że nie uwierzyła w moje słowa. Ale wiedziałem też, że na oddziale traumatologii narządów ruchu Szpitala Ortopedycznego w Otwocku personel ma świadomość, że jestem lekarzem (choć pacjentem). Średni personel medyczny nie ma w zwyczaju otwarcie kwestionować słów lekarza, niezależnie od tego, jakie bzdury plecie.

– Zaraz przyślę salową. Pozamiata – odparła Teresa.

– Dziękuję. A co do pani Szroniewskiej, to gdyby jeszcze dzwoniła, proszę jej powiedzieć, że... zbieżność nazwisk jest przypadkowa! Nie mogę być jej synem, bo w zasadzie jestem... sierotą.

Brwi starszej pielęgniarki Teresy zatrzymały się gdzieś w okolicach kości ciemieniowych. Udawać to ona nie potrafiła. Ale zgodnie z moimi oczekiwaniami odpowiedziała jedynie:

– Tak, oczywiście!

Kapsułka jedenasta

9 czerwca

Tuż po śniadaniu (umowna nazwa rozgotowanej na papkę owsianki) do celi numer szesnaście wprowadził się Przemek, drobny biznesmen. Przedsiębiorstwo być może drobne, za to sam właściciel okazał się potężny. Na dodatek był to facet absorbujący, głośny, ruchliwy i denerwująco żywotny. Czekał na artroskopową rekonstrukcję stawu ramiennego, lewa strona. Natomiast jego nogi działały bez zarzutu. Wiem, bo był w kiosku już ze cztery razy i w ogóle latał jak neurotyczny kot z pęcherzem. Najwidoczniej nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Ale przede wszystkim miał jęzorem. Cały czas! Spędziłem z nim zaledwie kilka godzin, a jego życie w zasadzie nie miało już przede mną tajemnic...

Przede wszystkim dzwonili do niego wielokrotnie klienci, którzy powierzyli mu meble do renowacji. Szybko się zorientowałem, że spławiał, kogo mógł. Jak nie mógł, to wymyślał niestworzone historie. Następnie dzwonił do syna:

– Bartuś, maźnij tam bejcą te komódkę, wiesz, od Krawczyków. No, no, no! Z białym marmurowym. No, no... Tak! Bierzesz pędzel i raz przy razie smarujesz, co nie? Bartuś, syneczku, ale po marmurze nie maluj. – Kolega stolarz zmarszczył czoło i pewno wsłuchał się w słowa syna. – Jak są plamy, to naftą, a później – rozumiesz – woskiem. Tylko się nie pomył...

– Nie pomyłę się, tata. – W drzwiach stanął wielki młody chłopak z komórką przy uchu.

Za nim, najpewniej Przemkowa małżonka z bukietem tulipanów i jeszcze jacyś państwo (białe frezje).

Zadziwiająco gadatliwe i czułe wielkie chłopisko przytuliło zdrową ręką każdego po kolei. A ci, czteroosobowym zespołem, równo niczym chór Aleksandrowa, pełną piersią odśpiewali:

– Sto larz, sto larz, niech żyje, żyje nam! Sto larz, sto larz...

Na szczęście po „Niech mu gwiazdka pomyślności” przyszedł rehabilitant Jacek i uwolnił mnie od uczestnictwa w cudzych rytuałach rodzinnych. Przyniósł stosowny sprzęt i spokojnie mogłem odkuśtykać do zabiegowego, a potem na rehabilitację.

Kiedy wróciłem, w pokoju numer szesnaście nie było już nikogo. I dobrze. Jedna na dzień stymulacja nerwowo-mięśniowa całkowicie mi wystarczy...

Kapsułka dwunasta

11 czerwca

Jako osobnik chory leżę w pozycji (c)hory-zontalnej i próbuję spać. Kiedyś myślałem, że kiedy człowiek przebywa w szpitalu (w roli pacjenta!), może przynajmniej odespać za wszystkie czasy.

Nie do końca to prawda. Na korytarzu albo coś buczy, albo ktoś wrzeszczy, albo tupie, albo drzwiami trzaska. A ja niedługo będę miał nowe dziecko i los zesłał mi prawdopodobnie ostatnią okazję, aby solidnie wypocząć. Jest, do cholery, szósta rano, a ja już sam nie wiem, czy pokój duszny, czy niepokoje duszy nie dają mi zmrużyć oczu, czy zewsząd dobiegające hałasy...

A już na pewno z kolegą Przemkiem w pokoju nie sposób się odprężyć. Ten człowiek jest tak potężny i ciężki, że sprężyny szpitalnego łóżka jęczą za każdym razem, gdy ten poruszy choćby palcem u nogi. A przede wszystkim chrapie. Chrapie to mało powiedziane! Siły aerodynamiczne wprawiają jego podniebienie miękkie w tak silne drgania, że trzęsie się całe moje łóżko. Ba! Wręcz jestem pewien, że najbliższy ośrodek badań sejsmicznych musiał tej nocy odnotować nasilenie wstrząsów w skali Richtera. Mogę od biedy zrozumieć, że wielki, biały stolarz musi generować hałas w dzień. Ale że jeszcze w nocy?!

Telefon w szufladzie szpitalnego stolika rozszalał się irytującym przebojem „Jesteś szaaalona o, o, o...”. O szó-stej ra-no!!! Co za brak wyczucia! I dlaczego on nie wyłącza na noc tej cholernej komórki? Owa „ona” może i jest szalona, natomiast ja jestem zmęczony i wkurwiony! Stolarz Przemek w ułamku sekundy poderwał się z łóżka. Potarł zaropiałe oczy i z entuzjazmem, jakby na to właśnie czekał, podjął rozmowę:

– A dzień dobry, pani Elżuniu, rączki całuję. Nie, nie, skąd, nie za wcześnie, ja zawsze na nogach od świtu! – Zadudnił w słuchawkę i ostatecznie wybił mnie ze snu. – Oczywiście, że pamiętam. Etażerka! Ale pani Eluniu, to dopiero BĘDZIE etażerka. Toż to była ruina, nie mebel, proszeem paaaniom. A zarobaczona okrutnie! Jak postawiłem ją w warsztacie w jednym kącie, to na drugi dzień znalazłem w innym, pod drzwiami. Sama przeszła! Tyle robactwa. Istny atak spuszczeli. Ale już wytłuczony robał, proszem paniom, co do jednego. Politura już schnie, mebelek jak nowiusieńki. Już by etażerka stała u pani w zeszłym tygodniu, gdyby, proszem paniom, nieszczęście na nas nie spadło, co nie? – Przemek zrobił krótką pauzę odbiorczą i dalej snuł historię. – Samochód dostawczy to dla fachowca żywiciel rodziny. Bez niego ani nie dojadę do klienta, ani mebla nie dostarczę. Jak tylko synowi się ucho zagoi, od razu do pani jedziemy. Już pani

mówię, jak było. Pani Eluniu, chłopak ambitny, do żandarmerii wojskowej by chciał. Aspiracje, znaczy się, posiada. Do matury już trzy razy podchodził, taki ambitny! Inny by odpuścił, a on nie. Czeką, że kiedyś będzie *Zemsta* na maturze. Orientuje się pani, co nie? No, no, taaak. Zemsta w sensie literackim, bo on z charakteru mściwy nie jest. Z kolegą chodzi na strzelnicę. No jak kto? Mój synuś, Bartuś z kolegą. Uczą się zuchy strzelać po godzinach, ale wypadki się, proszę panią, zdarzają. W czwartek się śrutem troszki zabawiali, to mojemu chłopakowi, proszę paniom, ucho odstrzeliło, bo rykoszetem od wiaderka cynowego poszło. Robotę rzuciłem i z synem na pogotowie lecę. Bo przecież jak go do tej żandarmerii bez ucha wezmą? No nie wezmą. I nikt nie patrzył, że wiadro przedziurawili. Bo kto by się wiadrem przejmował, jak ucho rozharatane. Nie, nie, pani Elżuniu, ucho w sensie ludzkim. A moja Gabryśka z tego stresu lisów nie domknęła, tych, co w ostatnim boksie siedziały. No i żarcia też nie dostały. Jak raz w tym wiadrze było mydło potasowe, bo drzewka owocowe mielim przyskać. Wszystkie lisy się zleciały i wypily mydło, jak my na to pogotowie grzaliśmy. Przyjeżdżamy z pogotowia, a tu na podwórku dwadzieścia osiem lisów pianę z pyska toczy. Jezus Maryjo! Moja kobita w płacz. Chciała nawet mdleć, ale jej odradziłem. Wścieklizna!!! Do weterynarza trzeba zgłosić. A wiadomo, weterynarz każe całą hodowlę uśpić, sto czternaście sztuk. Na pewno i u sąsiadów każą wybić stado. A za płotem sąsiad owce hoduje. Masakra, pani Elu! Jak mnie przyjdzie straty pokryć, to ja proszę paniom, bankrut jestem. Bankrut i żebrak, torba i kijek! Nic tylko sobie tym śrutem łeb rozwalić. Bo przyszłości dla mnie to już nie ma żadnej. Ale jak już miałem się z życiem żegnać, to Gabryśka przyleciała i mówi: „Patrz, Przemek, to nie żadna wścieklizna, tylko mydło”. Jakbym się drugi raz urodził. Dziadek mi zawsze mówił, że jak się żenić, to z inteligentnom kobitom. Pani też inteligentna, co nie? To pani rozumie. Zaczęliśmy razem z Gabryśką te lisy do boksów zaganiać. One na tym mydle jakieś takie osowiałe były, to i prędko szło. Patrę, a tu Bartuś z domu wychodzi przebrany, bo on pod remizę zawsze w piątki z kolegami chodzi. Furtki nie domknął. To ja się drę: „Baaartuś, synusiu, Baaartuś, fuuurtką!”. Ale on nie słyszy, bo mu głowę dookoła bandażem tak ciasno ścisnęli, żeby się opatrunek trzymał. To jak mógł słyszeć? I dwie sztuki tą furtką uciekły na pole. Myślę sobie, jak kto zobaczy, to wezwie weterynarza, bo ludzie są nieufne. Nikt mi nie uwierzy, że piana od mydła. Wziąłem swojego dostawczaka i jadę miedzą za tymi lisami. U nas ostatnio deszcze przechodziły, miedza rozmiękła, no i tak się zakopałem w tym błocie, że amen w pacierzu. I pani Elżuniu, samochód stoi zaryty po osie w błoto. Czekam na sprzęt ciężki. Jak miedza trochę obeschnie, to mi dostawczaka wyciągną. Bartusiowi jak raz ucho trochę się podgoi. Za dwa, trzy dni, góra pięć, jak padało nie będzie, z mebelkiem się meldujemy. Cudo, proszę paniom, nie etażerka. Nawet jak była nowa, nie miała tej piękności co teraz. Pani zadzwoni pod koniec

tygodnia. Żeby tylko nie padało. No.

Przez chwilę tylko cisza wypełniała szpitalną salę numer szesnaście. Największe wrażenie wywarła na mnie końcówka opowieści, a dokładnie fakt, że realizacja zamówienia została uzależniona od pogody. A pogoda, jak wiadomo, czynnik boski!

Dramaturgiczny talent tego człowieka wprowadził mnie w niekłamany podziw. Gdyby się urodził w Hollywood, czytalibyśmy na Pudelku o jego ekscesach na planie filmowym oraz siódmej z rzędu, trzydzieści lat młodszej narzeczonej.

Przekręciłem się na łóżku w stronę kolegi Stolarza. A przez chwilę miałem nawet nadzieję, że zadzwoni jakiś inny klient i będzie nowy odcinek o samochodzie dostawczym. Ale ponieważ przez najbliższe minuty nic nie zakłócało ciszy, sam zwróciłem się do kolegi Stolarza:

- Przepraszam, można o coś spytać?
- Dawaj pan.
- Dlaczego pan po prostu nie powie swoim klientom, że jest pan w szpitalu i czeka pana artroskopia?
- Paaaanie... Do biznesu trzeba mieć dryg. Jak ja bym takie rzeczy klientom, to do pyska bym nie miał co włożyć. U dobrego fachowca zawsze trzeba czekać, bo inaczej klient szacunku nie okaże. A poza tym to już miesiąc temu zaklinałem się, że mi nogę przytłukło i leżę w szpitalu. To mi teraz nie uwierzy, co nie? Głupia nie jest. A wiarygodność w biznesie to podstawa.

I tak, dzięki złamaniu awulsyjnemu kości piszczelowej, przeszedłem skrócony, ale intensywny kurs z działalności gospodarczej. Level: stolarz.

Kapsułka trzynasta

12 czerwca

Musieliśmy przeczekać burzę. Patison ustawił swoje volvo XC90 najbliżej, jak się dało, drzwi obrotowych Szpitala Ortopedycznego w Otwocku. Ziemia parowała, a wokół unosił się zapach sosnowych igiełek. Piękny dzień na powrót do domu!

– Jazda, jazda! – popędzał mnie Patison. – Ty tutaj nie przewąchuj igliwia, tylko do roboty! Dom czeka. W szpitalu grafik napięty...

– No zaraz, zaraz! Nie będę przecież operował na jednej nodze! Zrosnę się, odpocznę, to wrócę do roboty.

Niewprawnie, z kulami dokuśtykałem do drzwi Pati-sonowego auta i z trudem wgramoliłem się do środka.

– Ty się tak nie przywiązuj do myśli o odpoczynku. Bo to tak w życiu nie ma, że „dziecko pocznę i odpocznę”. Się dopiero zaczniesz! Będziesz niańczył po nocach, kocykiem okrywał, gluty wycierał...

– Mam wrażenie, że jeszcze parę miesięcy temu jakoś przychylniej przedstawiałeś mi instytucję małżeństwa i rodziny.

– A przecież ja przychylnie... – Patison płynnie zmienił bieg (oraz zeznania). – Wprost tryskam rodzinnym szczęściem!

– To wspaniale! Ale uprzejmie omijaj kałuże, bo ochlapałeś rowerzystę! – sarknąłem zgorszony.

– Się wytrze. – Czułem, że Patison jakoś nerwowo prowadzi. – Wkurwiony jestem. Remont się zaczął u nas, na oddziale. Zwariować można! Zalecenie odgórne przyszło, że mamy nie wytracać mocy przerobowych. Strusiowa palnęła płomienną mowę, że kobiety ze stolicy nas potrzebują, że dyrekcja prosi o cierpliwość, że etos pracy i w ogóle. Mówię ci, Termos, trzeci dzień siedzę w tym syfie, a już bym chętnie się zwolnił. Olejną zalatuje, robotnicy chodzą z wiertarą, przez pięć minut się nie skupisz, wyjdiesz na korytarz, to ci zaraz szlifierka pizdnie koło ucha. Wszędzie rejwach, pył i burdel na kółkach. Jakbym wiedział, że będziemy pracować na budowie przez trzy miesiące, tobym sobie też kości pogruchotał.

– Gruchnij się w łeb! Wyremontują i przestaną. Standard pracy nam się podniesie. – Staram się człowieka pocieszyć, jak mogę.

– No, zwłaszcza tobie. Będziesz miał swój gabinet, Aniele Kuternóżko.

– Już mi tak nie zazdrość! Gabinet gabinetem, a roboty będę miał w bród i jeszcze mi przyjdzie z cudzą zawiścią się mierzyć. – Chciałem mu troszeczkę

dopiec.

– Łajza cholerna się wpierdala na chama!!! – Tymi wdzięcznymi słowy mój przyjaciel skomentował poczynania jakiegoś mniej doświadczonego kierowcy.

– Ty rzeczywiście powinieneś, Patison, wyjechać na niedzielę, wyciszyć się, jakieś techniki odprężające zastosować, muzyki relaksacyjnej posłuchać.

Zaciął się w sobie i nic nie odpowiedział. A mnie się nie chciało już gębą kłapać. Z każdą minutą byliśmy coraz bliżej Saskiej Kępy. Czułem, że serce szamocze się w mojej piersi coraz niespokojniej.

Za sprawą kulawej nogi na tydzień wyszedłem ze swojej roli. Czas się wdrożyć na nowo. Pełen jestem niezawinionych obaw, że Miłka będzie mi miała za złe, że ją na kilka dni zostawiłem z dzieckiem wewnątrz brzucha oraz dwojgiem dzieci na zewnątrz.

Patison wyskoczył z samochodu, otworzył bramę i wjechaliśmy na podwórze. Musieliśmy zostać zauważeni. Na ganku w zwartym szyku czekały na mnie cztery kobiety. Miłka z Hanią, teściowa i mamusia. Na dwie ostatnie atrakcje nie czułem się do końca przygotowany. Kiedy miałem stłuczkę, nic mi się nie wyświetlało, ale teraz w jednej sekundzie wyświetlił mi się przed oczami film z najbliższej przyszłości. Festiwal pielęgnacji, dobrych rad, odżywiania, narzucania, nadskakowania. I to w sytuacji, w której nijak nie mogę odskoczyć na bezpieczną odległość.

Mamusia stała z przyklejonym uśmiechem numer osiem. Miłka z Hanią wymieniały porozumiewawcze spojrzenia. Teściowa rzuciła się w stronę Patisonowego volvo. Jezusie Nazareński, ona chce mnie całować! Ściągnęła usta w rurkę i hajda w moją stronę. I nagle, jak strzała, ze środka domu wypadł Antoś z indiańskim okrzykiem. Omal mnie nie przewrócił. Niełatwo utrzymać równowagę z połamaną nogą. A jeszcze trudniej z perspektywą przebywania z teściową i mamusią – synchronicznie! Jednak Antoś mnie uratował! Dzieciak uścisnął mnie serdecznie, a ja go nie wypuszczałem z ramion, ratując w ten sposób moje policzki przed wylewnością teściowej.

– Poznaj, Patison, moją teściową, Bronisławę – wyrecytowałem oficjalnie, aby wprowadzić czytelny dystans. – A to mój przyjaciel, doktor Marek Patycki. – Skinąłem w stronę kolegi.

Chyba rzeczywiście jakoś zaambarasowałem Bronię.

– Ty masz jakąś pomroczość jasną, stary – odpowiedział mi zdumiony Patison. – Przecież poznałem rodziców Miłki na twoim ślubie!

Z politowaniem pokiwał głową.

– A, prawda... – bąknąłem i jakoś minęły pierwsze, najgorsze sekundy adaptacji do zaistniałych warunków rodzinnych.

W tym całym korowodzie udało mi się dotrzeć do Miłki i Hani. Mamusi powiedziałem chłodne „cześć” i wszyscy razem wylądowaliśmy w salonie.

– Tu usiądziesz, Tomaszku. – Mamusia pokazała mi przygotowany fotel z dostawionym do niego stołeczkiem. – Nogi sobie wyciągniesz.

– Dziękuję, mamusia. Jeszcze troszkę pożyję. – Wy-szczerzyłem zęby i ostentacyjnie klapnąłem na sofie. – W zgodzie i harmonii z najbliższą rodziną!

Mamusia poczerwieniała i nie rzekła już ani słowa.

– To ja wam nie będę przeszkadzał – obwieścił Patison z odrobiną satysfakcji w głosie.

– O nie! Nie wyjdiesz bez kawy! – Zmiażdżyłem kolegę wzrokiem.

Zrozumiał, że chcę go przytrzymać. Moja żona zaraz nadeszła z kawą. Jednak moja nadaktywna teściowa wyrwała jej z rąk filiżankę i doniosła na serwetkę, tuż przed nos Patisona. Podmuchał, łyknął i zaczął się zbierać.

– To was zostawiam pod troskliwą opieką. – Patison spojrział na mnie i na Miłkę przepaszająco. – I lecę!

Mimo bólu w nodze pokuśtykałem wraz z nim parę metrów do ganku.

– Zajrzę do ciebie w tygodniu – obiecał. – A tymczasem wiesz, co robić. Techniki odprężające zastosuj, wycisz się, muzyki relaksacyjnej posłuchaj... Cześć.

Mój stary, poczciwy Mefisto.

Kapsułka czternasta

17 czerwca

Stało się. Mieszkam z teściową. Nerwy mam w strzępach, ale zważywszy na moje ograniczenia mobilne, dodatkowa para rąk naprawdę się przydaje. Bronia zawozi i przywozi Antka, robi Hani kanapki, dba o Miłkę. Muszę wytrzymać jeszcze pięć tygodni. Wtedy pozbędę się i gipsu, i teściowej. Na razie udoskonalam techniki unikania świekry. Zabarykadowałem się w gabinecie na piętrze i usiłuję pracować. Ciężko mi idzie. Nie dość, że sam z siebie jestem przymulony jak staw sołtysa, noga mnie czasem jeszcze pobolewa, to jeszcze średnio dwa razy na godzinę Antoś ma mi coś do powiedzenia, na dodatek od piętnastu minut coś furkocze. Albo sąsiad z naprzeciwka kosi trawę, albo Hania słucha modnej muzyki. O, nie mówiłem?

– To tylko ja. – Bronia włączyła się do gabinetu tanecznym krokiem. – Bobu młodego nagotowałam, ale ty sobie nie przeszkadzaj. Możesz tak łuskać, o, nawet i lewą ręką. – Ustawiła miseczkę z lewej strony. – Patrz... A prawą stukać na tym swoim komputerze.

Jezu słodki, nie wytrzymam pięciu tygodni. Oszaleję! Do Wisły się rzucę.

– Bo tak sobie rano na bazarze pomyślałam, wiesz, że jak wezmę bobu, bo ładny był ten bób, młodziutki, świeżutki, to nagotuję cały gar.

– To mi zadałaś bobu, kobieto. – Próbowałem się przebić przez Bronine gadulstwo. Bezskutecznie.

– ...i ty zjesz, bo to białko roślinne jest przecież, i ja zjem, bo cholesterol zbija, i Miłka zje, bo to znowuż kwas foliowy.

Walnąłem pięścią w stół (dobrze, że się nie rozpadł, bo to ulubiony biedermeier właścicielki domu). Zadziałało. Bronisława zatkała się na dziesięć sekund.

– I po co mi to wszystko mówisz?! – ryknąłem.

Zamrugła kilkakrotnie zaskoczona, ale odzyskała rezon.

– To nie ja mówię! – odpaliła, jakby informowała mnie o najbardziej oczywistej rzeczy na świecie.

Zamrugąłem kilkakrotnie, wytraciłem rezon. I ostrożnie, przez ramię spojrziałem za siebie, w stronę drzwi. Nikogo. Czyżbym już zwariował?

– Tak mówią dietetycy!!! – Cisnęła na moje papiery wyjętą z kieszeni podłużną kopertę i wyszła obrażona.



Jak ja mam, do cholery, rozwijać się naukowo? W takich warunkach nie da się chyba nawet listu do cioci napisać, a co dopiero artykułu o alloimmunologicznej małopłytkowości płodów. Chociaż taki Bach też miał wybujałe życie rodzinne i dwadzieścioro dzieci, a wyrabiał z nową kantatą co niedzielę... Mozart podobno skomponował uwerturę do „Don Giovanniego” rano, w dniu premiery. Może i tak. Ale oni byli geniuszami. A ja jestem tylko... szalenie zdolny!

Rozdarłem kopertę. ZUS był uprzejmy do mnie napisać. Musiałem przeczytać pismo trzy razy, choć zdawało mi się, że umiejętność czytania ze zrozumieniem opanowałem już w szkole podstawowej, żeby mniej więcej się połapać, co pan inspektor Jan Wlazły chce mi przekazać. Otóż na okoliczność zwolnienia lekarskiego i wypłacania mi świadczeń przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych jestem wezwany do dostarczenia pocztą lub osobiście kopii nadania dokumentu NIP, ponieważ „zaszła niezgodność danych świadczeniobiorcy między dokumentacją uzyskaną drogą elektroniczną systemu eWUŚ a dokumentacją uprzednio przyjętą za obowiązującą”. Co pro-szę??? I dalej: „W celu weryfikacji dokumentacji świadczeniobiorcy należy przedstawić dokumenty ZUS RMUA/ZUS ZUA.

ZUS czeka. Zulus Czaka. Dymi czacha.

– ...wamać! – bluznąłem szpetnie.

Chyba z siedem lat nie byłem na chorobowym. A jak raz mi się zdarzyło, to będą teraz ganiać mnie kulawego. I jeszcze będę musiał zawracać głowę mamusi, żeby odnalazła stare papiery. Pamiętam, że kiedyś były w granatowej teczce w moim dawnym pokoju, na Zawisłnej.

Na rozerwanej kopercie zanotowałem: „Zadzwoń do mamusi wieczorem w celu weryfikacji dokumentacji”. Szroniewski. Autentyczność swojego podpisu potwierdzam swoim autentycznym podpisem. Szroniewski.

Kapsułka piętnasta

19 czerwca

Sala gimnastyczna w przedszkolu Żółta Żaba nabita do ostatniego centymetra kwadratowego. Siedzę i chłonę program literacko-artystyczny (jako inwalida dostałem miejsce w drugim rzędzie) z okazji Dnia Ojca. Szeroko rozdziawione, szczerbate gęby drą się wniebogłosy oraz naprzemiennie deklamują wierszyki o wątpliwej wartości artystycznej. Ale mnie się podoba! Wzrokiem wyławiam z ciasno zbitej grupy młodych artystów jasną głowę Antosia i wzruszam się jak ckliwa baba.

I oto jesteśmy już blisko finału i przy melodii „Mój drogi tato, Kocham cię za to...”, wężykiem wychodzimy za dziećmi i Żółtożabią dyrektorką na placyk przed przedszkolem. Uff, wreszcie dopływ świeżego powietrza. I napoje. Antoś wychylił dwie szklanki fanty i pobiegł bawić się z kumplami. Przycupnąłem pod girlandą z samolocików i zadumałem się nad życiem. Nigdy bym nie przypuścił, że wezmę udział w pikniku rodzinnym i że ja, doktor, będę siedział na ławeczce w papierowej, złotej koronie i jeszcze będę z tego dumny! Taki ze mnie król...



Zorientowałem się, że za altaną śmietnikową rozgrywa się jakieś niezaplanowane przedstawienie. Kiedy jedna z przedszkolank wydała z siebie okrzyk przerażenia, zacząłem nerwowo rozglądać się za Antosiem. Z każdą sekundą byłem coraz bardziej niespokojny. Skupieni wokół śmietnika rodzice zrobili szpaler. W prześwicie ludzkiej ciżby zobaczyłem kilku chłopców z wyraźnymi śladami walki na młodych ciałach. Pobiłem chyba rekord Polski w kuśtykaniu na setkę. Na mój widok Antoś wyrwał się przedszkolance i mocno przywarł do mojej zdrowej nogi. Krwawa jatka!!! Plamy z krwi i ziemi zdradzały scenariusz wydarzeń. Głównymi uczestnikami bójki musieli być Antoś oraz jego kolega z grupy, Michałek Proc. Woźna przybiegła z apteczką. Potraktowałem bohaterów wodą utlenioną, no i mniej więcej na tym skończyły się moje możliwości pomocy farmakologicznej. Uwagę większości zgromadzenia skupił Michałek, gdyż jego obrażenia okazały się bardziej widowiskowe. Pękło mu naczynko krwionośne w buzi. Kiedy otwierał paszczę w kolejnych spazmach płaczu, z jego sześcioletnich ust toczyły się potoki śliny podbarwione krwią. Wyglądał jak zombi, ale sytuacja kwalifikowała się do szybkiego opanowania.

Antoś krwawił oszczędniej, ale w istocie jego rana zdawała się poważniejsza. Rozwalony łuk brwiowy. Rana niezbyt może rozległa, ale głęboka.

Piknik rodzinny zakończyliśmy mocnym uderzeniem.

Już z taksówki wydzwoniłem Radka Surowieckiego. Szczęście w nieszczęściu, że był jeszcze w szpitalu, to mi dzieciaka zaceruje. W piątki Surowy przyjmował na parterze, w przychodni. Antoś trzymał się dzielnie i w ogóle nie płakał, ale miałem wrażenie, że okupił tę bohaterską postawę olbrzymim stresem. Siedział w taksówce cały czerwony od stóp po cebulki włosów i napięty jak struna. W sumie nie wiedziałem, czy go zagadywać, ale kontrolnie sprawdziłem gotowość do rozmowy.

– Powiesz mi, dlaczego tak mocno uderzyłeś Michałka? – spytałem.

– Oddałem mu!

– Czyli on cię pierwszy uderzył? Dlaczego?

– Nie! To ja go pierwszy uderzyłem! – zeznało dziecko.

– A przed chwilą mówiłeś...

– No bo ja mu po prostu najpierw oddałem! – wyjaśnił Antoś zdziwiony, że nie mogę pojąć.

– Aha. To niezbyt dobrze, synu.

– To bardzo dobrze. Bo on powiedział, że ty nie jesteś tak naprawdę moim tatą.

– Przecież jestem twoim tatą – oznajmiłem spokojnie.

„Naprawdę postaram się tego nie zepsuć”, dopowiedziałem sobie w myślach.



Surowy uznał, że Antoś świetnie współpracuje, i odesłał mnie na korytarz jako element zbędny. Pewno nie chce, żebym mu patrzył na rękę.

Usiadłem na najbliższym krzeselku, przy stoliku. Czuję się trochę zmęczony. Niespecjalnie oszczędzałem dziś swoją prawą nogę.

Dzwoniła Miłka. Nie odebrałem. Jak bym jej powiedział, że przyjechałem z młodym do szpitala, to wyobraziłaby sobie Bóg wie co. A teściowa, jak ją znam, odpowiednio podgrzewałaby atmosferę. Lepiej, żeby obie dowiedziały się już po wszystkim.

Na stoliku obok ulotek promujących regularne badania cytologiczne znalazłem magazyn „Kobiece Myśli” sprzed czterech miesięcy. Zajrzałem. Znana córka znanego polityka ubrana w znane ciuchy znanych projektantów doradzała, żeby w tym sezonie nie łączyć kaszmirów z żakardami. Czasem nachodzi mnie myśl, żeby nie łączyć mnie z tym krajem...

Przed nosem przemknęła mi tleniona na żółto młoda kobieta. Pod ścianą,

przy drugiej krawędzi stolika ustawiła wózek inwalidzki, na którym siedział mniej więcej ośmioletni chłopczyk. Pewno jej syn.

– Posiedzisz tu chwilkę, obok pana – rzuciła w pośpiechu i pobiegła w sobie znanym kierunku.

A po chwili z gabinetu numer osiem wyszedł Surowy za rękę z Antosiem. Obaj w wyśmienionych humorach.

– Założyłem cztery, ale maleńkie szwy. – Surowy odgarnął Antosiowi grzywkę.

Precyzyjna robota, jak zawsze u Surowego.

– Dzięki, stary!

– Bardzo proszę! Ale za darmo nie będzie. Cztery zimne piwa któregoś dnia po robocie! – zaordynował mój kolega chirurg. – I posiedźcie z pół godziny, zanim pójdziecie do domu.

– Dałeś mu anestetyki?

– No tak, trochę musiałem. – Surowy zmierzwił młodemu włosy. – Lecę, mam jeszcze huk roboty. – I poszedł.

– Patrz, co dostałem!

Antoś wyjął z kieszonki cały zestaw naklejek ze Spidermanem i jakimiś innymi bohaterami nowoczesnego świata.

Chłopczyk na wózku z zacięciem wyciągnął szyję w naszym kierunku.

– Chcesz jedną? – Antoś zwrócił się do nowego kolegi.

– No pewnie.

Chłopcy podzielili się fantami i całkiem udatnie imitowali odgłosy walki pomiędzy superbohaterami. Dzięki temu Antek nawet nie zauważył, że zleciało prawie dwadzieścia minut. I czekanie, z mora każdego dzieciństwa, obyło się bez marudzenia. Aż nadeszła żółtowłosa matka Antosiowego kompana.

– Wychodził może z tego korytarza – wskazała brodą – taki jeden ginekolog? Starszy człowiek, nos jak rakietka i taka czaszka wielka, nieforemna.

– Władek Drewnowski? – Parsknąłem śmiechem.

– No! Skąd pan wie? – Zamurowało żółtowłosą.

– A, mam swoje sposoby – odpowiedziałem wymijająco. – Pani się na niego nie doczeka. On jest dzisiaj na szkoleniu. Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon.

Kobieta usiadła, a właściwie osunęła się bezsilnie. Albo mam omamy, albo jakoś się skurczyła.

– To może ja obejrzę tomografię? – usłyszałem swój głos.

Żółtowłosa wahała się przez sekundę. Speszona podała mi jednak białą kopertę z pieczętką naszego Zakładu Medycyny Nuklearnej.

Diagnoza zdawała się, niestety, bezsprzeczna – mięśniak podsurowicówkowy.

– Mam jeszcze to. – Podała mi białe karteluszeki. – Miałam to przynieść doktorowi Drewnowskiemu w zeszły piątek.

Przejrzałem. Biochemia tylko potwierdzała i tak oczywistą diagnozę – leukocyty 18 000/ μ l, CRP < 6,3 mg/dl.

Ale się wpakowałem. I to na własne życzenie.

– Czekaj panią zabieg. Pilny. – Zawahałem się, co jeszcze mogę powiedzieć. – Niewiele więcej w tej sytuacji mogę pani pomóc. Ale proszę nie zwlekać! Dlaczego, u licha, nie zgłosiła się pani w zeszły piątek? Tak to właśnie jest. Pacjentki rezerwują wizyty, a potem nie przychodzą. A jak coś się dzieje, to wtedy lament, że na wizytę trzeba czekać pół roku.

Kobieta przygryzła wargę i odpowiedziała sucho:

– Alimenty dopiero przyszły we wtorek. A my musimy z Kamilkiem taksówką od Żyrardowa do Maryspola, a potem...

Machnęła ręką i urwała, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Wyciągnąłem z kieszeni wizytówkę i przekreśliwszy swoje dane, dopisałem na odwrocie: Katarzyna Byrcyn 658 319 717.

– Proszę zadzwonić pod ten numer w poniedziałek po dziewiątej. Pani Kasia to moja stażystka.

Dostałem SMS-a, że taksówka przyjechała. Wyszliśmy razem z Antosiem. Czulem na plecach wzrok żółtowłosej. Byliśmy już prawie w drzwiach, kiedy zdecydowała się krzyknąć za nami:

– Dziękuję, doktorze.

Pomachałem jej.

Kapsułka szesnasta

1 lipca

Przyjechał Jerzyk, chłopiec dobry oraz niesłuchanie rodzinny. Ku mojemu zdziwieniu przyjechał dwuosobowym sportowym porsche. Takie cacko dla bogatych gości, którzy lubią kłuć w oczy. Jureczek wyskoczył zza kierownicy i niemal podbiegł do drzwi pasażera, otworzył je szybkim szarpnięciem. Pasażer okazał się być korpulentną kobietą w sukni bez ramiączek oraz bez gustu. Owa dama teatralnie wystawiła mięsistą prawą nogę, pogrzebała spiczastym czubem buta w trawie, jakby rozgniatała robala, dostawiła drugą nogę równie mięsistą i podjęła pierwszą, niezupełnie udaną próbę eleganckiego wyjścia z samochodu. Prawdę mówiąc, dupsko jej się trochę klinowało. Jerzyk w końcu złapał ją za obie ręce i jakoś oboje dali radę. „Zasadził dziadek rzepkę w ogrodzie...”.

– Szroniewski – przywitałem się oficjalnie.

– Sylwia Jaroszek. Zabawnie z tym wysiadaniem, co?

– Eee, niskie zawieszenie... – mruknąłem dwuznacznie, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– A to do kawki przynieśliśmy, z cukierni Palce Lizać przy Francuskiej.

Wręczyła mi pakuneczek.

– Grabula, kuzyn. – Jerzyk silnie uściśnął mi dłoń. – Teczkę ci przywiozłem. Bo my wczoraj z Sylwunią żeśmy byli na kawce u stryjenki.

– Proszę do środka.

Nie pozostawiono mi wyboru.

Puściłem ich przodem. Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy czegoś nie przegapiłem. Ale jestem pewien, że na ostatniej Wigilii towarzyszyła Jerzykowi całkiem inna laska. Obcasy korpulentnej Sylwii zapadały się w trawie. Po każdym kroku z trudem podrywała kończynę, wrywając obcas z murawy. Lało dwa dni, trawa przy podjeździe namokła... Dobrze, że z podjazdu na schody niedaleko, bo jeszcze mi trawnik zorze tymi trepami i nie wypłacę się później Hornwaldom.

– A co tak, kuzyn, u ciebie pusto? Gdzie wszyscy się podziali?

– Hania jest na górze, czyta. Teściowa dopiero poszła do kościoła na wieczorną mszę, a Miłka z Antosiem zaraz powinni przyjść – złożyłem drobiazgowo sprawozdanie, żeby czymś zapchać niezręczną ciszę. – A u ciebie, jak sprawy? Co porabiasz?

– Oj, dzieje się, kuzyn, dzieje. – Jerzyk wycisnął soczystego buziaczka na pulchnym ramieniu Sylwii. – Biznes robię z kumplami, większy taki. Roboty mam od groma, kuzyn. Ale nie narzekam, rozwijam się, prę do przodu. Mężczyzna to

mężczyzna, jaja mieć musi.

„Niektóre wyjątkowo męskie okazy mają nawet jajecznicę zamiast mózgu”, pomyślałem porażony mądrością kuzyna z za Zwolenia.

– A jaką branżą się zajmujesz, jeśli można wiedzieć?

– Funeralno-estetyczną. Robimy pulsujące serca na nagrobki. Produkcja elementów, montaż, instalacja.

– Eee... Co?

Postawiłem oczy w słupek.

Jerzyk uśmiechnął się pod wąsem i przystąpił do wykładu.

– Ty lekarz jesteś. Wyobraź sobie bijące serce, tylko bardziej kształtne i czerwone. Montujemy takie na nagrobkach. W środku jest dioda LED, światło tak chodzi, że ludzkie oko widzi efekt pulsowania... – urwał, ale po chwili dodał: – Genialne!

Nie przytaknąłem i prawdopodobnie nie wyglądałem na przekonanego, dlatego Jerzy Zemła kontynuował wykład.

– A w nocy, bracie, efekt jest porażający! Przechodzisz cmentarzem, a serce jak z żywej piersi wyjęte... bije.

– Biję się z myślami, czy to aby nie jest zbyt dosłowne? – Oględnie wyraziłem swoje wątpliwości.

– Cooo ty? Mamy już tyle zamówień, że nie wyrabiamy. Do Wszystkich Świętych harowa, potem spłynie kasa i zwolnimy, wypoczniemy. Święta w Malezji... Sylwester na Bali... – Jerzy zrobił króciutką przerwę, aby obsypać pocałunkami bliźnię po szczepionce na ramieniu swojej towarzyszki. – Będę dużo inwestował. Mam wejścia w show biznesie, z czasem przerzucę się na entertainment.

– Dość biegunowe masz zainteresowania – wtrąciłem.

– Nie, nie – odezwała się Sylwia. – My raczej wolimy z Jerzym podróżować do ciepłych krajów...

Zamilkłem.

Zachrząścił zamek w drzwiach. Najwyraźniej Miłka przyprowadziła Adasia z treningu szachowego. W samą porę. Bo w pojedynkę chyba bym nie zniósł mędrkowatych popisów kuzyna. I jeszcze ta jego rozgarnięta inaczej „przyjaciółka”. Kimkolwiek była, sam fakt, że zadaje się z Jerzym Zemłą z za Zwolenia, skreśla ją towarzysko. Zresztą ja i tak nie jestem towarzyski.

Moja żona przywitała się z gośćmi. Szybko pojęła, że atmosfera przy stole jest drętwa, zatem zajęła bezpieczną pozycję przy ekspresie do kawy. Sylwia, usłyszawszy o kawie, poleciała do Miłki z pudełeczkiem świeżo nabytych minieklerek.

Antosia straciłem z oczu. Pewno pobiegł do toalety.

– Umyłeś ręczki? – rzuciłem w stronę łazienki.

Posiadanie dzieci pozwala na pewne uniki towarzyskie. Zawsze można udawać, że ot, niby tak naturalnie, prowadzisz rodzinne rozmowy. Higiena – sprawa zasadnicza. Dopilnować trzeba.

– Noooo. Myję właśnie! – odkrzyknął Antoś.

– Myjesz?

– Nooo...

– A nie słyszę wody.

– A mydło słyszysz?

No to mnie młody powalił. Jak się ktoś zapieni, to zwykle słyhać. Ale fakt, samego mydła nigdy nie słyszałem.

Jerzyk zarechotał głupkowato.

– Cześć, wujek! – Czystoręki Antoś grzecznie wyciągnął prawicę. – Chcesz zobaczyć coś ekstra? Patrz!!! – Dzieciak skłonił głowę przed Jerzykiem. – Mam cztery wszy.

– Antoś, syneczku, masz cztery szwy – naprostowałem wersję syna.

– No przecież mówię – zachnął się. – Jak przyjedzie dziadek z Wałbrzycha, to mi kupi wyścigówkę za to, że byłem dzielny, jak mi taki pan, o tutaj, wyszywał.

– Ja też ci coś kupię. Sam sobie wybierzesz. – Wyrwał się Jerzyk. – Bo fajne masz, dzieciaku, tekściory.

A mnie zaniepokoiły Jerzykowe próby pogłębiania relacji rodzinnych. Czterdzieści lat żyłem na tym świecie bez kontaktów z rodziną Zemłów (choć mamusia twierdzi co innego). Następne czterdzieści też by się obeszło.

– Wujeeek? – Antoś wpatrzył się w Jerzyka bladoniebieskim spojrzaniem.

– No co tam, zuchu? Co?

– A gdzie jest ta ładna pani?

– Już idęęę! – dobiegło z kuchni. – Właśnie obie panie nadchodziły z dzbankiem kawy i tacą eklerek. – Ty też jesteś ślicznym chłopczykiem. – Słodziutkim altem wyśpiewała korpulentna. – Chcesz ciasteczko od cici Sylwii?

Zastrzygłem uszami. Przypuszczałem, co będzie dalej. Wystarczyło spojrzeć na Jerzyka. Mógłbym przysiąc, że w jednej sekundzie skurczył się o jakieś dziesięć centymetrów. Pobladł gwałtownie. Spodziewał się pchnięcia prosto w serce. I miał rację.

– Nie mówię o tobie. – Antek popatrzył na Sylwię szczerze zdziwiony. – Pytałem siemm o-tom-m-m-p-paniommm – wpakował do dzioba całe ciastko naraz – co była u nas w święta.

– W święta?! – Sylwia głośno wciągnęła powietrze, a po sekundzie zasyczała jak dziurawa opona. – W święta?

Zasztyletowała wzrokiem kuzyna. Padł lub przynajmniej go sparaliżowało.

„Fajne masz, dzieciaku, tekściory”. Ha! Dyskretnie zerknąłem na Jerzyka, ale milczę jak ryba w galarecie. Bo i cóż, dziecko pyta właściwą osobę. Miłka

także nie uznała za stosowne się odzywać. Zresztą unika mojego wzroku w obawie, aby jedno z nas nie wybuchło śmiechem.

Tylko cała zabawa kosztem dziecka, bo zdeorientowany Antoś wodzi wzrokiem kolejno po naszych twarzach i czuje, że coś jest nie tak, ale nie wie co.

Upłynęły ze cztery wieczności.

– Tamta pani wyjechała na szkolenie. – Jerzyk wyszeptał w stronę frędzli od naszego obrusa. – A my już chyba będziemy lecieć. Co, Sylwus?

Sylwus zafalowała poczerwieniałym biustem. Znow upuściła powietrza.

– Ale wpadnijcie jeszcze kiedyś! – krzyknęła Miłka z ganku za oddalającą się parą.

Kapsulka siedemnasta

13 lipca

Dostałem jeszcze tydzień zwolnienia, a gips już zdjęty. Mam rozległy i masywny atak życia. Trzeba to uczcić! Zwołałem na sobotę kolegów z roboty. Będziemy uprawiać zbiorowe pijaństwo.

Kapsułka osiemnasta

18 lipca

Patison z Władkiem przyjechali pierwsi. Obaj wpatrzyli się w moją odsłoniętą z gipsu, pobladłą nogę.

Poruszyłem wielkim paluchem.

– O, jak widzę, pozbyłeś się balastu – zauważył Władzio.

– Nareszcie! – Udałem, że mogę sobie pooddychać z ulgą. – Wczoraj wieczorem wyjechała.

Patison się uchachał, Drewnowski nieudolnie stłumił śmiech.

– Przestań tak ciągle narzekać na moją matkę! – ofuknęła mnie Miłka. – To już się robi niesmaczne.

– Ja? Broń Boże! Przecież to Władek wywołał temat. – Wyparłem się w żywe oczy.

Moja żona zmarszczyła nos i ostentacyjnie powędrowała do kuchni.

Ale na szczęście wróciła po paru minutach z deską pełną serów.

Ja w tym czasie przystąpiłem do wypełniania funkcji kierowniczych (trzeba się wprawiać, niedługo wracam do pracy) i pokazałem chłopakom, gdzie mają ustawić stół ogrodowy. Rozstawili też krzesła. Patison umiejętnie zajął się grillem. Ma swoje harcerskie sposoby – polał węgiel zajzajerem i rozłożył na ruszcie pierwszą porcję karkówki. Zapach pieprzu cytrynowego i kardamonu oderwał się od mięsa i gęstą smugą popłynął wzdłuż Saskiej Kępy ku Wiśle. Przy piwie jak zawsze zeszło na gadkę o szpitalu. Chłonałem wieści z oddziału. Remont jeszcze nie dobiegł końca, ale podobno główne roboty konstrukcyjne z grubsza zostały wykonane i ciężki sprzęt wyjechał z oddziału. Jednak ciężka atmosfera niezmiennie pozostała. Ordynator Iwona Struś chodzi po oddziale z miną, jakby jej ulubiona suczka zdechła. Przez cały tydzień wszystkich mieszała z błotem, a w piątek urządziła prawdziwą rzeź niewiniątek.

– Gdybyż ona mogła już objąć jakieś zaszczytne stanowisko w innym szpitalu – rozmarzył się Patison.

– Albo się zakochać – wymyślił Władzio. – Szczęśliwie zakochana kobieta kocha cały świat i nawet sama przed sobą urządza pokazy łagodności.

– Co ty, Władziu, już się urządasz? – Patison sforsował zębami kapsel od trzeciego piwa. – Ona jest po sześćdziesiątce.

– No i co? Sam mam prawie pięćdziesiąt lat i jeszcze się nie wybieram na cmentarz – burknął Władzio. – Kobieta po sześćdziesiątce też może mężczyźnie wiele zaoferować.

– Głównie wspomnienia! – odpowiedziałem.

I zaraz zerwałem się na równe nogi (właściwie na równą prawą nogę, bo wszak wciąż się trochę oszczędzam ruchowo). Zza pomalowanej na żółto bramy machała do nas młoda i hoża kobieta – moja stażystka, Katarzyna.

– Gdzie Łucja? – zainteresował się Włodek. – Miałyście przecież razem przyjechać.

– Sama jestem, niestety. – Kaśka wyłożyła na stół przyniesione czereśnie. – Łucja za tydzień zdaje egzamin na prawko. Dzisiaj ma dodatkowe jazdy.

– Tu każdy ma jakieś jazdy. To nie jest żadne usprawiedliwienie. – Patison wstał, żeby przekręcić karkówkę. – Czułem, że jej nie będzie. Jak się tylko dowiedziała, że ten krasnolicy Rafaello nie przyjdzie, to jakoś tak nagle zmieniła plany...

– Taaa... Łucja lubi wymuskanych dandysów – rozzalił się Władzio. – Zupełnie nie pojmuję, że w głowie, z takim nosem jak mój, może ukrywać się wrażliwy na piękno umysł... Może was zaskoczę, ale Iwona jednak pewne rzeczy inaczej pojmuję.

I-w-o-n-a? Wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia z Patisonem i nas zatkało. Jednak chyba pochopnie przypisałem swego czasu Patisonowi miłosne, seledynowe awantury...

Władzio umilkł przestraszony niekontrolowanym zwierzeniem.

Na szczęście Miłka przejęła stery rozmowy. Pokiwała głową i odstawiła szklankę z lemoniadą.

– A co do Łucji, to ona prawdopodobnie nie wie, że najpiękniejsze ptaki są w dłuższej perspektywie bezużyteczne. – Wszyscy w zdumieniu czekaliśmy, co dalej powie moja żona. – Rajskie ptaki, głuszce, altanniki, cietrzewie... mają bardzo rozbudowane rytuały tokowania. Prawdziwa operetka. Samce tańczą, nadymają podgardla, tworzą kryzy i treny z opalizujących piór. Cuda-wianki. Cały spektakl kończy się na kopulacji. I tylko kopulacji, żadnym związku. Te wszystkie ozdoby z piór natychmiast ściągnęłyby na samicę z młodymi niebezpieczeństwo. Pięknie chodzą solo...

– Dobrze powiedziane. – Władzio nalał sobie kielicha. – A ta Łucja...

– Dajcie jej spokój – wziąłem w obronę nieobecną koleżankę. – Niech najpierw Łucja zda egzamin. Jak się nauczy prowadzić, może rozsądniej pokieruje swoim życiem... Fajna z niej kobitka, tylko nadmiernie rozdygotana.

Zabraliśmy się za degustację serów. W wiaderku z lodem zdążyły się ochłodzić cztery butelki reńskiego, specjalnie na tę okazję. I właśnie byliśmy tuż przed toastem za spotkanie, kiedy do granicy swojej działki podeszły Goździkówny Sisters. Zjawiły się dosłownie między ustami a brzegiem pucharu i jak zawsze rzeczowo i dobitnie sformułowały swoje oskarżenie:

– Kopci się tu strasznie!

– Dobry wieczór – powiedzieliśmy zgodnym chórem.
Oczywiście nikt nie odwzajemnił pozdrowienia.
– Ależ my tylko grilla robimy. – Miłka spokojnie złożyła wyjaśnienia. – Jeśli miałyby panie ochotę spróbować...
– Smród, że w gębie gorzko! – wrzasnęła Irena.
– Gdzie drwa rąbią, tam dym leci – sprokurowałem naprędce przysłowie. – Czy przemieszczanie dymu z wiatrem regulują jakieś odrębne przepisy?
– Co? Co on mówi? – Irena wpatrzyła się w siostrę.
– A co on może ciekawego powiedzieć? – Regina drwiąco wydeła usta. – Rodzinka z piekła rodem, to i odór jak z czarciego pyska. Irenko, idziemy! – zarządziła starsza siostra.

I poszły.
– Powiedz im, że to zasłona dymna – wyszeptał Patison w moje plecy.
– Człowieku, tu nie ma żartów – westchnąłem cicho. – To długa historia prześladowań.
– Osobliwe starsze panie – dorzuciła Miłka. – Ale wróćmy do toastu. Za nas! Miłka uniosła kielich z gazowaną wodą, a my – szkło z winem.

Syty i zadowolony Władek poklepał się po brzuchu i zgłosił projekt rozpicia mocniejszej flaszki. Miłka miała pewne wątpliwości, czy koniak remy martin nadaje się do szarlotki na ciepło, ale wszyscy poza moją żoną byliśmy już odrobinę wstawieni i żaden protokół nie mógł nam niczego zabronić. Ewentualnie to my mogliśmy czegoś zabronić protokolowi. Zaczynała się piękna, gorąca noc pijacka...

Patison wstał, podszedł do grilla, na którym skwierczały dwie ostatnie porcje wołowego steku, wbił szpikulec w jedną z nich, podniósł na wysokość oczu i zaczął badawczo, z każdej strony oglądać kawałek mięsa.

– Co ty? Robisz badanie histopatologiczne tej wołowinie czy co? – zaciekało mnie postępowanie przyjaciela.

– Tak. Zawsze chciałem zostać patologiem. – Patison nie przestawał wgapić się w mięso. – Prawdopodobnie mam nawet rozmaite skłonności patologiczne.

– Oj tam, parę piw i zaraz patologia. – Wrodzony góralski rozsądek przemówił przez Kaśkę.

– Są jeszcze różne inne patologie – zauważył leciutko narąbany Władzio. – Na przykład seksoholizm – doprecyzował, a jego wzrok niebezpiecznie utknął na wysokości Kasinego biustu.

Tymczasem preparat badawczy, czyli stek, zsuwał się powolutku po szpikulcu i naraz plasnął na granitowy chodnik. Tłusty, mięsny sos prysnął na czub Patisonowego mokasy.

– Wypierdolił mi się – zabelkotał Patison.

– Nie rzucaj mięsem przy kobietach! – upomniałem kolegę.

– Bardzo przepraszam. Upadł mi. – Patison próbował serwetką wyczyścić utłuszczony but. – Bo tak się, Termos, zastanawiam... Ta wołowina wcale nie jest przypalona, żar niewielki, węgle prawie wygaszone, a tu mi jedzie skądś spalenizną...

– Nie przypaliłaś czasem szarlotki, kochanie? – spytałem Miłkę.

Zerknęła na zegarek.

– Nie! Dopiero za dziesięć minut będzie gotowa. Piekarnik sam się wyłączy dwadzieścia po siódmej – odpowiedziała pewna swego moja żona.

Mimo to oboje odruchowo odwróciliśmy się w stronę domu. Z otwartego w kuchennym oknie lufcika walił siwy dym jak z chińskiej elektrowni.

Kapsułka dziewiętnasta

19 lipca

Jak człowiek jest kawalerem i ma kaca, to ma kaca. Jak jest żonaty i ma kaca, to ma kaca, że ma kaca. Miłka suszy mi głowę, a wczorajszy alkohol suszy mi gardło. Moja otepiała dusza usycha z tęsknoty za spokojem i ciszą...

Zestaw wczorajszych win (reńskie, mozelskie, mołdawskie) zdaje się ubożuchny względem zestawu win dzisiejszych. Schlałem się jak zdziczałe bydlę (zdawało mi się, że takie jest założenie) i podobno powiedziałem milion niewłaściwych i niewybaczalnych rzeczy. Chronologicznie: podobno dezawuowałem teściową (to jeszcze pamiętam); następnie powiedziałem coś w stylu, że obwód mojej żony w talii jest wielkością porównywalny do Obwodu Kaliningradzkiego (ja to jednak jestem błyskotliwy po wódce!), a na koniec imprezy byłem uprzejmy skomentować urodę mojej stażystki: „Jest ta Kasie chycić za co”. Człowiek dużo czyta, to i skojarzenia ma literackie...

Intelekt jak brzytwa. Ale moja żona jakoś nie uważa, że byłem zabawny. Szkoda.

Jednak moją główną winą jest fakt, że omal nie zhajcowałem domu. Wynajętego domu! W sumie nie wiem, czy to okoliczność łagodząca, czy obciążająca. Wczoraj szybko zlokalizowaliśmy źródło dymu. Cały parter przeszedł gęstym smrodem, ponieważ w piekarniku, obok szarlotki na kruchym spodzie, piekły się gumowe rękawice, rozmiar XXL. I tu rozpoczyna się dylemat istic hamletowski. Moja żona uważa, że tylko skończony debil (tak, chodzi o mnie) mógł zostawić gumowe rękawice w piekarniku. Ja zaś nie mogę się nadziwić, jak można włączyć piekarnik, nie sprawdzwszy, czy niczego w nim nie ma. Ponadto dzisiejszy spór – by tak rzec piekarnikowo – odgrzał poprzednią emocjonalną dyskusję na temat potrzeby dokonania generalnych porządków. W efekcie bywszej awantury spędziłem przemiłe popołudnie na czyszczeniu armatury łazienkowej oraz skrobaniu rzeczonoego piekarnika. Łatwiej by poszło, gdybym miał narzędzia chirurgiczne. Nie byłem wówczas specjalnie szczęśliwy i faktem jest, że na koniec roboty wrzuciłem rękawice w głąb mrocznej piekarnikowej paszczy.

Wczorajszy sztynek udało się trochę rozrzedzić całonocnym wietrzeniem, ale niestety cały parter przesiąkł aromatem palonej gumy. Zostawimy chyba fortunę w pralni za wyczyszczenie zasłon, poduszek, tapicerek... A wszystko to moja bardzo, bardzo wielka, przypalona wina.

Rzadko robię imprezy, ale jak już, to z zadumą i efektem. Dałem czadu, jakbym u samego Nerona przechodził kurs organizacji widowiskowych imprez.

Wczesnym popołudniem Miłka równie nagle, co żałośnie się rozpląkała. O ile mogłem zrozumieć, targają nią lęki egzystencjalne, czyli hormony nie śpią. Moja żona chciałaby zreformować świat. Najlepiej teraz, natychmiast. Aktualnie martwi się między innymi: o skutki zmian klimatycznych, bezrobocie strukturalne i nawrót chorób zakaźnych oraz że w Ziemię uderzy kometa i będziemy dryfować w kosmosie w postaci wypalonych resztek.

Mnie tak łeb boli i serce kołacze, że właściwie już teraz czuję się jak kosmiczny odpad. Skoroś pił, jesteś pył (kosmiczny). A z kobietami tak to właśnie jest! Miłka troszczy się o cały świat, a poalkoholowe cierpienie własnego męża jakoś nie wywarło na niej wielkiego wrażenia... Trzeźwy jestem jak świnia, a cierpię jak poeta.

Niedziela przed powrotem do pracy doskonale nadaje się do tego, aby spędzić ją w łóżku, zwłaszcza że wyjechali na wakacje wszyscy nasi podopieczni... Szkoda tylko, że dziś na własnym materacu czuję się, jakbym odbywał ćwiczenia w wirówce przeciążeniowej (my, ginekolodzy, tak mamy, żadnej myśli bez słowa „ciąża”). Przyniosłem sobie z kibelka na piętrze miesięcznik „Trendy”. Teściowa moja z upodobaniem go czytuje, więc poczytam i ja. W sam raz na możliwości skacowanego umysłu. Najpierw pobudziłem się intelektualnie krzyżówką. Redakcyjna stopka okazała się najdłuższym tekstem, jaki udało mi się znaleźć do poczytania. Próbowałem wyszperać coś jeszcze. Po dwóch minutach przekonałem się, że poczytać to sobie można co najwyżej podpisy pod obrazkami. Ale się nie zraziłem. Choć może powinienem był. Dowiedziałem się bowiem, że władam archaicznym językiem. Jak jakiś troglodyta. Bo na przykład dotąd wydawało mi się, że ludzie się ubierają (czynność uwarunkowana kulturowo). A tu nic podobnego! Teraz naród, kiedy przyodziewa ciało, to się stylizuje (lub przybiera look lub ewentualnie mniej lub bardziej twarzowo wygląda w outficie), kiedy idzie kudły podciąć, to się stylizuje, kiedy zakłada gacie na spodnie, to się stylizuje. Którędy „Trendy” idziecie?

Słabuję i we łbie mi się kręci, ale pozytywnym faktem jest, że noga mnie już wcale nie boli. To chyba się zwlokę, wystylizuję w stare portki oraz T-shirt z dziurą i pójdę posprzątać w szopie.

Kapsułka dwudziesta

3 sierpnia

Pylicy chyba dostanę. Męczy mnie kaszel uporczywy. Mam już szczerze dosyć wdychania zapachów farb, fug, rozpuszczalników. Na szczęście koledzy budowlańcy kończą już remont, bo bym oszalał. W ogóle wszyscy na oddziale w jakichś dziwnych nastrojach, lekko halucynogennych. Pokój lekarski na szczęście już odmalowany. Wydzielono nam nawet nieduży aneks kuchenny.

Z rana zapukał do nas jeden koleś. Prawie go nie było widać, bo w ramionach trzymał wielkie tekturowe pudło. Stał na środku, zawołał Wyżyńskiego i mówi:

– Panie doktorze, pan łaskawie przyjmie tę korupcję. – Cały upocony świeżutki tatuś ustawił pudło pod nogami Leszka Wyżyńskiego. – Ja Piechniakow się nazywam. Pan mi sztuczkami rozmaitymi synka wyciągnął z mojej Janki jak korek z butelki. Klinował się skubaniec, ciężko szło... Ale pan dał radę. Chłopak malowanie. I podobny do mnie, jak skórę zdjął!

A Wyżyński, jak to Wyżyński, małomówny i niewylewny emocjonalnie spojrzął i pyta:

– Co tam jest?

Obaj panowie nachylili się nad wiekiem pudła i tryknęli łysinami.

– Ekspres do kawy! Pierwsza klasa, ciśnieniowy, piętnaście barów. Młynek do kawy wbudowany. Pojemnik do spieniania mleka... – Wszystko ma! Najlepszy model. Bo ja jak daję, to nie byle co. – Słysząc było wyuczoną kwestię w głosie pana Piechniakowa, ale i intencje szczerze.

Pan Piechniakow strącił na podłogę styropianowe foremki. Wszyscy zobaczyliśmy nowiutki, kosmiczny sprzęt. Ekspres lśnił czerwoną emalią, stylizowany na lata sześćdziesiąte.

Wyżyński ledwo zerknął.

– Wartość powyżej dwustu złotych. Nie wolno nam – bąknął i odwrócił się tyłem do wdzięcznego tatusia.

– Zaraz, zaraz, doktorze... Ja podzespoły robię do tego sprzętu. Mnie to praktycznie nic nie kosztuje... A jak zobaczyłem, że wy ten żużel rozpuszczalny pijecie, to od razu pomyślałem...

– Nie wolno nam – powtórzył Leszek Wyżyński i nawet się nie odwrócił.

W tej samej sekundzie w drzwiach pojawiła się położna Basia i przyleciała do mnie cała wzburzona. Wyszedłem z nią na korytarz.

– Doktorze, nie mogę sobie dać rady. Położyłyśmy na jedyńce panią

Wójcikową. Wie pan, która to? Ta pierworódka z astmą w wywiadzie. Musimy uważać.

Kiwnąłem głową.

– Ja albo doktor Patycki do niej zejdziemy, jak tylko... – Byłem zdziwiony, że nasza najlepsza położna, rzeczowa i mądra osoba normalnie wyszła z nerw.

– Nie! Nie o to chodzi! Tam się powolutku rozkręca, rozwarcie dopiero na cztery centymetry, zejdzie jeszcze ze trzy godziny... – Basia trajkotała jak nawiedzona maszyna. – Najpierw przyszedł jeden pan, powiedział, że jest ojcem dziecka. Przyniósł kwity, że zapłacił za salę porodową. Wszystko wyglądało normalnie, to go wpuściłam... Wyjął kamerę i zaczął kręcić. Pięć minut później przychodzi człowiek i też się pakuje na salę porodową, że to jego żona rodzi. Dowodem osobistym mi macha, że on Wójcik się nazywa. Bo ja go wpuścić nie chciałam. Bo przecież jeden już był z rodzącą. A za nim jeszcze prawnik tego pierwszego, że dysponuje dowodami. I Wójcik wyrwał kamerę tamtemu fagasowi i jak go nie ścisnie. A on się wyrwał i obaj z mecenasem za łeb go.

– ...wamać! Co to ma być? Poród rodzinny, sąsiedzki, parafialny...

Oboje z siostrą Basią omal nie połamaliśmy nóg na schodach.



Przed trzecią wróciłem do lekarskiego. Zajrzałem do pańnika (tak nazwaliśmy szafkę z półkami nad zlewem, bo jak ktoś dostanie jakieś żarcie, tam odkłada). Stan bieżący: jeden samotny baton i wiśnie w czekoladzie. Jak będę ciągle jadł te wiśnie, brzuch mi obwiśnie spoza paska i sam będę wyglądał jak baba w ciąży. Trzeba się będzie przeprosić z Café-lunchroom Wulkan i iść na zimną, bezsmakową kanapkę w kształcie trójkąta. Zabrałem młodzież: krasnolicego Rafała, o którym zaocznie wszyscy już mówią Waginosceptyczny, i Kasię. Ambitni stażyści pragnęli pogłębić swoją wiedzę na temat przebiegu porodu w położeniu miednicowym.

– Podręcznik poleca chwyt Brachta, a jeśli są problemy przy porodzie główki, książkowo stosuje się metodę Veita--Smelliego, ale życie uczy, że najczęściej w takich przypadkach robi się cesarkę i tyle.

– W ogóle ta ginekologia to jedna wielka szkoła życia. Dzisiaj zobaczyłem, jak doktor Wyżyński załatwia sprawę ekspresu. Przyjął, ale w jakim stylu... No szacun normalnie... Sam bym w życiu na to nie wpadł.

Rafał wysforował się naprzód, żeby przytrzymać skrzydło drzwi.

– Leszek? Zgodził się przyjąć?! – Dech mi zaparło. – To do niego niepodobne...

– Opowiedz od początku, bo doktor przecież zszedł na porodówkę – wtrąciła

Kaśka.

– A przecież. – Rafał palnął się w czoło. – Ten człowiek z pudłem się zaparł jak szczerbaty na sucharka. Bardzo chciał nam podarować ekspres. Wszystkie dziewczyny, z Kaśką na czele – Rafał zerknął na dziewczynę z ukosa – zaczęły pisać na widok sprzętu tego faceta.

– No chyba ty o sobie mówisz! – Kaśka złapała się pod boczki i jako rasowa dziewczyna z Podhala zrobiła minę z cyklu: draka z góralek – morda obita.

– Spokój mi tu! Dzieciaki, końskie zaloty później. Co z tym ekspresem, chciałem się dowiedzieć. – Przywołałem młodzież do porządku.

– Doktor Wyżyński – Kaśka postanowiła już nie dopuszczać Rafała do głosu – zapytał tego faceta, czy ma kluczyki od samochodu. Miał. I obaj ostrym końcem podrapali błyszczące boki ekspresu. Aż się odpryski czerwonego lakieru posypały na podłogę. A kiedy skończyli, doktor mówi: „Załatwi pan teraz fakturę na dwieście złotych za niepełnowartościowy czy tam wadliwy towar i będziemy mogli przyjąć”.

– Mistrz! – zachwycił się Rafcio.

– Oj tam... Chwilę mnie nie ma i wszyscy popadają w manię wielkości. Później wam opowiem, jakie miałem sceny na jedyńce...



Zadarliśmy głowy w Wulkanie przed podwieszoną, czarną tablicą z aktualnym menu. Zupełnie inny repertuar niż parę tygodni temu, przed moim wypadkiem. Jeszcze chyba gorszy, a na dodatek nawet pani Dziuni nie ma, co i doradzić potrafi, i dryg gastronomiczny posiada. Mamy do wyboru: hummus z sumakiem (29 zł), tatar z troci z ciecierzycą w konfiturze z czerwonej cebuli (59 zł), przegrzebki św. Jakuba z tartą tatin z szarej renety (49 zł) oraz foie gras, skorzonere i mus z kartofli (69 zł).

Prędko tu nie wrócę. Drogo i pretensjonalnie. Dla kogo miałyby być te lunche? Pensja pielęgniarki dwa tysiące, obiad siedem dych. Zresztą, co ja mówię, jaki obiad. Przekąska co najwyżej. Jako człowiek, który od lat stołuje się to tu, to tam, wiem, że czym dłuższa nazwa dania, tym mniej na talerzu...

Fundnęliśmy sobie po herbacie i zasiedliśmy przy gołym stole.

– Co to jest „skorzonera”? – Piękniutki stażysta wydał eleganckie usteczka.

– Z kim ja pracuję?! – ofuknąłem młodych. – W nosie dłubaliście na wykładach z historii farmacji? Dowiedzieć mi się na jutro, proszę. Inaczej wam praktyk nie zaliczę, matołki.

– Zaraz, chwileczkę! Ja wiem. – Kaśka zmarszczyła brwi. – To wężymord jest inaczej. W medycynie ludowej używany na ukąszenia żmij.

– Nooo! To pani zaliczyła – pochwaliłem dziewczynę – a panu się tylko zdawało...

– Jezu, no, mieliśmy na jutro sprawdzić, tylko ty musisz się zawsze wyrwać!
– Rafał zaatakował koleżankę.

– Nie ciskaj się, młody – zainterweniowałem. – Masz tu dychę i do Żabki się przeleć. Weź mi jogurt pitny i bagietkę.

Poszedł jak niepyszny.

A Katarzyna domagała się obiecaney relacji z porodówki. Streściłem jej przebieg zdarzeń. Opowiedziałem jej prawdy dość szeroko znane, że sukces ma wielu ojców. Wspomniałem o mężu pacjentki, domniemanym ojcu dzieci, oraz mecenasie...

– I co pan zrobił, doktorze? – chciała wiedzieć Kaśka.

– Zapytałem ich, patrząc każdemu po kolei w oczy, który z nich zobowiązuje się łożyć na dziecko. Wykorzystałem chwilę konsternacji, bo żaden jakoś się nie wyrwał... Wyprowadziłem panów do recepcji. A tam już znaleźli się w strefie wpływów pana Janusza z Solid Security. Bywa w życiu i tak, że aby rozwiązać problem, wystarczy przeformułować pytanie...

Zziąjany Rafał zdążył obrócić do spożywczego i z powrotem. Załapał się na końcówkę mojej opowieści. Chciał coś powiedzieć, ale Kaśka go ubiegła.

– Nie wiem, czy ten staż zrobi ze mnie dobrego ginekologa. – Dziewczyna z powątpiewaniem pokręciła głową. – Ale jeśli jeszcze trochę pouczę się sztuczek od starych lekarzy, będę się czuła jak dyplomatka.

– Z twoimi warunkami – Rafał bez skrępowania wgapił się w spiętrzony ciasnym stanikiem biust koleżanki – to prędzej matką zostaniesz, a nie dyplomatką.

Widziałem, że w dziewczynie buzuje już góralska zapalczywość do bitki, ale tym razem, nie bez żalu, musiałem ją zgasić.

– A poza tym chciałaś powiedzieć „doświadczonych”, a nie „starych lekarzy”, skoro już o dyplomacji mówimy...

Katarzyna zbordowiała.

Dwadzieścia lat temu teczkę by nosili za poważanym specjalistą. Studenteria niedouczone.

Kapsułka dwudziesta pierwsza

25 sierpnia

Rano, zaraz po odprawie, zadzwoniła do mnie mamusia. Nie mogłem rozmawiać, więc nagrała krótką wiadomość: „Synku, koniecznie musimy się spotkać dzisiaj, około siedemnastej”. Jestem pewien, że przez kilka (za) długich tygodni, kiedy Bronia mieszkała z nami, mamusia czuła się odtrącona oraz niemożliwie zazdrosna. Nawet teczkę z dokumentami demonstracyjnie podesłała mi za pośrednictwem Jerzyka Zemły. Trochę mnie rozśmieszyło, gdy usłyszałem, że mamusia chce się umawiać ze mną na Saskiej Kępie, ale nie u nas w domu, tylko w kawiarni. Zakładam, że czuje się niezręcznie z powodu kontestowania Miłki... Okropne mecyje z tymi wszystkimi babami! Faceci daliby sobie po mordzie na udeptanej ziemi i spokój, a z babami zawsze jakieś napięcia, wibracje, podchody, półsłówka...

Zdążyłem tylko zmienić koszulę po robocie i poleciałem do Café Pod Minogą na rogu Lipskiej i Berezyńskiej. Niepotrzebnie się spieszyłem. Najwyraźniej przyszedłem pierwszy. Zapadłem się na miękkiej kanapie w modne, geometryczne wzory i zamówiłem kanapkę. Ściągnąłem ze stolika miesięcznik, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Zainteresował mnie tytuł „Puls Stolicy”. Otworzyłem na chybił trafił i przeczytałem fragment wywiadu z niejakim Benkiem B., który to Benek dostał rolę w sitcomie dla młodzieży. A dostał, bo ciężko pracuje. Tym ciężiej, że tatuś jest udziałowcem w prywatnej telewizji, a matka – znaną dziennikarką. I go już złości, że on, Benek, musi wszystkim udowodniać, jak niezgłębioną ma osobowość i talent niezaprzeczalny. Oraz że dostałby przecież tę rolę w cuglach, nawet gdyby był synem alkoholika i sprzątaczką z terenów objętych bezrobociem strukturalnym. Przekręciłem stronę i zobaczyłem profesjonalne zdjęcie artysty Benka na tle jego własnego porsche. Pewno sobie kupił dzieciaczyna za gażę z roli w jasełkach... Pod wywiadem zamieszczono krótki biogram.

„Benek B., lat 19, artysta, aktor, performer, kreator offowy, twórca i scenograf spektaklu eksperymentalnego »Marzną mi nogi«”.

Kelnerka przyniosła kawę, więc dalej nie doczytałem. Uspokojony, że puls stolicy bije tam, gdzie zawsze, że znani są znanymi, bogaci bogatymi, że wygrał, kto miał wygrać, łyknąłem gorzką kawę. Historyjek z „Pulsu Stolicy” jednakowoż nie łyknąłem...

I spostrzegłem mamusię.

Siedziała na zewnątrz, w kawiarnianym ogródku. Ubrana w swoją najlepszą

sukienkę dopijała już lampkę białego wina. Uderzyło mnie, że źle wygląda: cera poszarzała, worki pod oczami.

– Dzień dobry, syneczku.

Rodzicielka wyczuła mnie w oba policzki, aż poczułem się lekko skrępowany wyrażoną w miejscu publicznym czułością.

Po oddechu wyczułem, że wino zapewne było wytrawne i nie mogło być pierwszym dzisiejszego dnia. Mamusia, zupełnie jakby przeczytała moje myśli, pospieszyła z deklaracją.

– Nie musisz się o mnie martwić, syneczku. – Popatrzyła wymownie na kieliszek. – Obiecuję ci, że nie będę więcej piła.

– Ale mniej też nie.

– Jak to... rozumiesz?

– Normalnie. – Wzruszyłem ramionami. – Każdy się musi czymś znieczulić. Nie było ci ostatnio wesoło, prawda?

Spuściła oczy, a ja poklepałem ją po wierzchu prawej dłoni, na której sinofioletowe żyły zaczęły rzeźbić drogę ku starości. Byliśmy niebezpiecznie blisko niewypowiedzianych wzruszeń, ale na szczęście mamusia, kobieta twarda i rzeczowa, w porę wyjawiała mi cel naszego spotkania.

– Krystyna Hornwaldowa zaraz tu będzie. Dzwoniła parę minut temu, że już dojeżdża. Przedwczoraj przyjechała do Warszawy. I o wilku mowa!!!

Kobiety padły sobie w ramiona, wyraźnie ucieszone sobą.

– Świetnie wyglądasz, Helenko! – Pani Hornwaldowa na dzień dobry skomplementowała mamusię.

A ja sobie mimowolnie przypomniałem, jak parę dni temu, w szpitalu, siostra Basia definiowała trzy etapy życia kobiety: „Pierwsza młodość, druga młodość, dobrze wyglądasz”. Ale trzeba przyznać, że mamusina przyjaciółka umie przekonująco naginać prawdę.

– Przepraszam, że kazałam wam na siebie czekać. Wciąż jeszcze nie mogę dojść do ładu ze zmianą czasu... Nieistotne. Słyszałam od Helenki, że u państwa duże zmiany? – Pani Krystyna przeczesła długimi palcami siwe włosy i uśmiechnęła się do mnie pięknym garniturem zębów.

– Za kilka tygodni urodzi nam się córka...

– ...a wiesz, Krysiu, mój Tomaszek jest szykowany na ordynatora!

Mamusię aż świerzbilo, żeby natychmiast zgasić informację o dziecku i poinformować świat o – jej zdaniem – wielkim sukcesie zawodowym. Ona się nigdy nie zmienia.

– Serdeczne gratulacje z obu powodów!

– Napiją się panie kawy? – Przywołałem kelnerkę zdecydowany, żeby szybko zmienić temat, zanim mamusia popadnie w żenujące przechwałki osiągnięciami syna. – Jak państwu się mieszkało obok...

– Sióstr Goździkównien! – Pani Krystyna od razu wiedziała, w czym rzecz. – Temat rzeka... Smutna historia. Te dwie biedaczki nienawidzą całego świata. A co gorsza, jestem pewna, że nienawidzą siebie nawzajem... Jedyne mój mąż potrafił je spacyfikować. Tak... Kazimierz działał na nie terapeutycznie. Nasza willa, w której państwo teraz mieszka, należała do ojczyma mojego męża. Ja wiele nie pamiętam z dawnych opowieści teścia. Kazimierz wiedziałby lepiej. Wiem tylko, że po wojnie Regina i Irena zostały same w swoim domu. Obie były wówczas bardzo młodziutkie. W ramach dekretu o gospodarce lokalami pod koniec lat czterdziestych właściciele domów musieli przyjąć przymusowych lokatorów. Siostron Goździkównom dokwaterowano rodzinę ze Wschodu z jakąś niemożliwą liczbą dzieci. A i jeszcze na parterze miały lokatora. – Pierwszymi taktami *Eroiki* odezwała się komórka. Pani Krystyna odrzuciła rozmowę i kontynuowała opowieść. – Kazimierz go pamięta, mówił o nim Litwin, ale ja nawet nie wiem, czy to nazwisko, czy narodowość. Wiem tylko, że rodzina z piętra i chmara dzieci dość prędko gdzieś wywędrowała. A Litwin mieszkał długo... Pewno dużo dłużej niż obowiązywał dekret... – Pani Krystyna uśmiechnęła się leciutko. – Ale pewnego dnia zniknął, jak oni wszyscy. Ani chybi zostawił po sobie dużo gorczy. A gorczy z czasem sfermentowała i sami państwo wiedzą...

– Oj, wiemy... – przyznałem.

– Oby mnie to nie spotkało – rzuciła jakoś melancholijnie w przestrzeń pani Krystyna, ale zaraz uśmiechnęła się szeroko i klasnęła w dłonie. – Bo kawa nam wystygnie!

Obeszło mnie nieprzyjemne uczucie niepokoju w głosie pani Hornwaldowej. Zacząłem gorączkowo się zastanawiać, czemu w istocie służy to spotkanie.

– Muszę państwa bardzo przeprosić. Mam pewne trudności... Zobowiązaliśmy się z mężem wynająć państwu dom na co najmniej cztery lata. – Pani Krystyna spojrzała mi w oczy szczerze zakłopotana. – Ale musimy wycofać się z tej umowy...

Zmięły mi nogi i serce załomotało.

– Jak to wycofać z umowy? – Mamusia otworzyła usta w niedowierzaniu.

Była tak pochłonięta nowiną, że omal nie wsadziła sobie widelczyka w oko.

– Oczywiście nie natychmiast – dodała szybko pani Krystyna. – Państwo oczekują dziecka... Żle to wszystko wyszło... Naprawdę... Strasznie mi przykro.

– O Jezu... Krysiu, stało się coś? – Mamusia wręcz nie mogła wysiedzieć na pleconym, kawiarnianym krzeselku.

– Owszem, Helenko. Zaszły pewne zmiany... Rozwódzimy się z Kazimierzem. Będziemy musieli sprzedać dom na Kopenhaskiej. Kazimierz jak na razie zostaje w Asuncion i raczej nie zamierza pokazywać się w Polsce. Sama nie utrzymam domu. Zresztą nie chcę. Wystarczą mi dwa pokoje na Nowym Mieście. Jednym słowem – pani Hornwaldowa spojrzała na mnie spłoszonym

wzrokiem – mogę dać państwu jeszcze sześć, osiem miesięcy, później jednak chciałabym zając się sprzedażą...

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem i przyjmuję do wiadomości. Nie miałem innego wyjścia.

– Ja nie mogę w to uwierzyć po prostu! Przecież jesteście małżeństwem chyba ponad trzydzieści lat... Boże, jak to możliwe?! – ekscytowała się mamusia.

– Normalnie, Helenko. Kazimierz poznał miejscową studentkę, z Paragwaju, Lucję – muszę przyznać – piękną dziewczynę. Schudł, odmłodził, wciągnął brzuch... Jednym słowem jeszcze jest piękny, a już ma pieniądze. No i zadziałało... Wielka miłość! Okazało się, że Lucja ma dużo naprawdę niebanalnych poglądów, odświeżające spojrzenie na wiele spraw, niegasnący entuzjizm oraz osobliwie odbija myśli mojego... znaczy jeszcze mojego męża... Grom z nieba, porozumienie dusz i ciał. Ciao, ciao, dawne życie...

Przywiędłe floksy zwabiły motyla na środek naszego stolika.

Trzy pary oczu wpatrzyły się w efektowny rząd czarnych kropek na niebieskawych od spodu skrzydłach. Modraszki przysiadł na krawędzi flakonu, wspiął się po liściu i zastygł w bezruchu. Odmęty mojej wiedzy nieświadomionej wyrzuciły na powierzchnię nazwę: czerwонецzyk nieparek. Fruwająca metafora.

– Przepraszam za te zwierzenia. Pewno pana nudzi takie babskie gadanie... No ale teraz już pan wie, dlaczego...

Potaknąłem przymknięciem powiek.

Zerwał się wiatr i porwał bordowe serwetki z naszego stolika. Zupełnie jakby chciały odlecieć za motylem. Upadły obok następnego stołu. Poszedłem pozbierać bordowe płachty.

– Będziemy w kontakcie. Pożegnaj się już.

Postawiłem ciężką ceramiczną cukiernicę na pozbieranych serwetkach i wstałem.

Zostawiłem przy stoliku dwie starsze panie zajęte omawianiem szczegółów historii starszej niż świat. Wszedłem do środka Café Pod Minogą. W toalecie obmyłem twarz zimną wodą i poparzyłem na swoje odbicie w lustrze. Boże Wielki, jak o tym powiem Miłce... Tuż przed rozwiązaniem lub niedługo później z maleńkim dzieckiem (i dwojgiem dużych) będziemy musieli szukać miejsca, jak nie przymierzając Święta Rodzina...

Podszedłem do kontuaru. Nikogo. Po minucie zjawiła się upiornie umalowana, rozlazła dziewczyna.

– Chciałbym zapłacić. Kanapka z jajkiem i espresso.

– Jowitkaa, szardżujesz pana? – Umalowana ospale wymawiała każdą sylabę w stronę kuchennych drzwi. – Bo ja z tym terminalem no nie mogę, nooo. – I bez słowa w moim kierunku odczłapała na zaplecze.

Czekałem ze trzy minuty, aż ktoś do mnie podejdzie. Już miałem odejść bez płacenia, kiedy zjawiała się panienka, dokładnie ta sama co przed chwilą.

– Nie ma nikogo. Musi pan poczekać, to może zawołam...

– Nie! Nie chcę i nie mogę czekać.

– O Jezu, denerwuje mnie ten terminal...

– A mnie słaba obsługa.

– Przepraszam najmocniej, koleżanka się uczy. – Zza ramienia dobiegł mnie czyjś głos.

Długowłosa postać ominęła mnie łukiem i dojrnęła za kontuar. Stanęliśmy oko w oko. Zaszło mi w gardle, zaszczypało w powieki, jakbym prosto w słońce spojrział. Przedemną stała młoda, uderzająco piękna kobieta. Może zresztą dzieło sztuki, nie kobieta... Może anioł zstąpił do Café Pod Minogą? Ocknąłem się dopiero po kilku sekundach.

– Kanapka z espresso. I jajko – wydusiłem z siebie.

Dłonie smukłe, jakby je rzeźbił Renoir, podały mi terminal.

– Zbliżeniowo?

– W żadnym wypadku. Żadnych zbliżeń z panią!

Zapłaciłem i prędko odszedłem.

Do domu.

Kapsułka dwudziesta druga

10 września

Usłyszałem hałas pod drzwiami zewnętrznymi. Wyjrzałem kuchennym oknem. Przed wejściem na ganek stała moja żona i znęcała się nad parasolem. Dokładniej rzecz ujmując, z dziką furią okładała nim poręcz przy schodkach. Jeden sterczący drut przedziurawił materiał, inne zwisały smutno skrzywdzone wichurą oraz wściekłą ręką mojej żony. Przypuszczam, że jeśli kobieta na progu ósmego miesiąca ciąży grzmoci parasolem metalową poręcz, należy się odsunąć i w bezpiecznym zaułku przeczekać atak. Tak też uczyniłem.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałem cię niepokoić, ale czy mógłbym cię delikatnie spytać... No wiesz... Chodzi o to – kto jest adresatem twojej agresji?

– Co mówiłeś? – wysapała moja żona zmęczona batożeniem metalowej poręczy.

– Nie, nie... W zasadzie nic... Niezręcznie wyjechałem z tą agresją. Ta poręcz naprawdę przegina, od dłuższego czasu, a w zasadzie odkąd ją znam, zwłaszcza, o, tutaj! – Pokazałem palcem miejsce, w którym metalowy pręt przechodzi w krzywiznę. – Wręcz mógłbym ci zaręczyć, że ostatnio sama udręka z tą poręczą nieporęczną...

Uśmiechnęła się.

– Ty nic nie rozumiesz!

– Jak to mężczyzna!

– To chińskie badziewie pospadało z drutów już po pierwszym razie. Ja już nie mam pojęcia, czy kupować tanie parasolki w Rossmannie i mieć je na dwa razy, czy fundnąć sobie drogi parasol, który starczy może na miesiąc...

– Kochanie, kupię ci pancerny parasol. Na zamówienie. Tylko się nie denerwuj! Jak ten cały bałagan się wreszcie przetoczy...

Zdjąłem zmoknięty płaszcz z mojej żony i usiedliśmy przy herbacie. Zanuciłem przebój Kunickiej „Parasolki”. Ale ponieważ człowiek żonaty rzadko ma rację w jakiegokolwiek sprawie, moja żona upiera się, że „Parasolki” śpiewała jednak Koterbska. Tak czy siak udało mi się rozbroić minę, udobruchać rozbuchane Miłkowe hormony i zażegnać burzę. Szybko wyszły na jaw sprawy i tak oczywiste. Frustracja mojej żony nie dotyczy ani parasoli, ani deszczu, ani żadnej innej wody...

Prawdopodobnie jestem jakimś gigantycznym nieudacznikiem. Długo rozmawialiśmy o tym, co począć w naszej trudnej sytuacji lokalowej. Projekt Saska Kępa rozpisaliśmy na kilka lat. Hania na szczęście ma gimnazjum w centrum, na

Twardej, ale Antoś poszedł do pierwszej klasy w pobliskiej szkole. Trzy przecznice od Kopenhaskiej. Teraz trzeba będzie wywracać wszystko do góry nogami. Pomyśleliśmy z Miłką, że najpierw trzeba zbadać rynek. Zobaczyć, co, gdzie i za ile można kupić lub wynająć. Udręka. Ale nie ma się co mazgać, trzeba zakasać rękawy i do roboty...

Przekopuję internet, szukam ofert, porównuję ceny. Zacząłem od zgłębiania anonsów z rynku wtórnego, bo mi się zdawało, że tam będzie taniej. Opisy bywają wprost fantastyczne! Zupełnie jakby matka syna sprzedawała, jedynaka zresztą. Opisy – poezja, rzeczywistość ze zdjęć – niepokojąca proza. Każda nora jest apartamentem, każde łyse pole pod Warszawą za Raszynem czy innym Halinowem znajduje się „15 minut od centrum”, chyba w nocy i helikopterem. Ułożyłem nawet prowizoryczny słownik czytania ogłoszeń z rubryki nieruchomości:

- „dom/mieszkanie do remontu” – do wyburzenia;
- „dom/mieszkanie do odświeżenia” – wymaga generalnego remontu;
- „dom/mieszkanie do dowolnej aranżacji” – syf, grzyb, mogiła;
- „oryginalna stolarka” – wypaczone drzwi i okna, parkiet może dałoby się uratować dwadzieścia lat temu;
- „mieszkanie doskonale skomunikowane” – przy skrzyżowaniu bądź głównej arterii...

Nie skończyłem. Sufit mojego gabinetu się zatrzęsł. Odgłosy sugerują, że młodzież zaczęła się bić. Drewniane stropy Hornwaldów mogą tego nie wytrzymać. Poszedłem z interwencją. Zastałem, co następuje: Hania siedziała okrakiem na poczerwieniałym Antosiu. Dzieciak nie wyglądał na zadowolonego. Z oczu leciały mu łzy, z nosa – gluty, z buzi – ślina.

– Hanka, co ty wyprawiasz? Wycisnęłaś już z niego większość płynów fizjologicznych. Naoglądałaś się filmów sensacyjnych czy co? Dobrze, że mama tego nie widzi...

– Tomasz! On mi zjadł cztery snickersy! – zakrzyknęła buńczucznie Hania.

Poluzowała jednak siłę uścisku. Wtedy spod jej nastoletniego ciała wyczołgał się zmaltretowany mały chłopiec. Przybrał minę absolutnie niesłusznie skrzywdzonego małego dziecka i czekał na rozwój wypadków, szlochając cichutko.

– Mama w środę kupiła nam całe opakowanie. Każdy dostał po cztery. Ten prosiak nienażarty – Hania wycelowała w swojego małego brata – zeżarł wszystkie swoje, wyżebrał ode mnie jednego, a potem znalazł moje, które sobie przed nim schowałam, i też mi zeżarł.

– Nieprawda!!! – rozdarł się Antoś. – Ona mi obiecała jeszcze dwa...

– No dwa kopy w dupę chyba!

– Hania! – wtrąciłem. – Jak ty się odzywasz do brata?! Na litość boską!

– Ona mi obiecała jeszcze dwa... – rozchlipał się.

– Wierzysz mu? Przecież ja też lubię snickersy.

– Obiecaaaaaś...

I nastąpił ryk oraz głęboka prezentacja Antosiwych migdałków.

– Nie ma co ryczeć, młody. Wskakuj w buciory i idziemy do sklepu po snickersy dla Hani. Przy okazji kupimy mamie nasiona słonecznika, bo jej się skończyły.

– Dobra, dobra – sarknął młody.

Już na dole, przy ostatnim schodku Antoś skonstatował:

– Obiecywała, ale ma SKNEROZĘ!

Naburmuszony dzieciak zawinął się w nieprzemakalną kurtkę i wystawił twarz na deszcz, próbując łapać krople do otwartego dzioba. Niestety ludzie z wiekiem wytracają entuzjizm wobec opadów atmosferycznych, dlatego spojrzałem w niebo i nie zobaczywszy na nieboskłonie żadnej nadziei na przejaśnienia, zaszemrałem pod nosem:

– Pogoda pod psem!

– No chyba raczej pod domem? – sprostował Antoś.

Nie sposób gniewać się na niego.

Kapsułka dwudziesta trzecia

15 września

Skończyłem czterdzieści jeden lat tydzień temu. Czterdzieści jeden to liczba pierwsza. I chyba istotnie, pierwszy raz w życiu czuję się jak żalosny frustrat odrętwiony zgorzknieniem. Nie mam samochodu. Nie mam domu. Za to na nic nie mam czasu. Siedzę w robocie od ósmej do ósmej, nie licząc nocnych dyżurów i Medicusa (*ergo* nie za bardzo mogę pomóc w domu żonie w ósmym miesiącu ciąży). A przecież muszę chodzić za pieniędzmi z tej prostej przyczyny, że pieniądze nie chcą chodzić za mną. Mieszkanie w Polsce to dziwny rodzaj luksusu, ponieważ pracujących ludzi nie stać na mieszkanie.

Żryjcie mnie muchy...

Kapsułka dwudziesta czwarta

18 września

Prosto po robocie wsiadłem do taksówki. Przed osiemnastą udało mi się dojechać na Kabaty. Wybrałem domofonem numer mieszkania, a potem, zgodnie z umową, oczekiwałem na niejaką Elwirę Hun, posiadaczkę stu dwóch metrów kwadratowych do wynajęcia. Szybko się zjawiała. Przeprowadziła mnie przez ciąg drzwi wiodących z holu w labirynt korytarzy. Co chwila wpisywała pięciocyfrowy kod, bo „jak pan widzi, nasz apartamentowiec spełnia najwyższe standardy bezpieczeństwa”. Nie widziałem. Zresztą o wiele baczniej przyglądałem się kobiecie. Miała wytrenowane ciało i żołnierskie ruchy oraz głowę jakby oderwaną od innego zestawu. Po prostu na północ od gardła nabierała wyglądu urzędniczki powiatowej z pretensjami do lepszego życia...

Pod numerem 161 skończyliśmy rundę honorową i wreszcie zostałem poproszony do środka.

– Napije się pan czegoś? Wrzesień niby, a parno tak jakoś.

– Chętnie, wody. Jeśli to nie kłopot.

Mieszkanie, w przeciwieństwie do właścicielki, zdało mi się naprawdę ładne. Dobrze doświetlone i zgrabnie urządzone. Pomyślałem, że to na tyle przytulne miejsce, aby móc tu przywieźć dziecko z porodówki. Trzy sypialnie, oprócz otwartego na kuchnię salonu, powinny nam wystarczyć. Hania i Antoś dostałyby swoje pokoje, my z Miłką – sypialnię, noworodek nie zażąda własnego pokoju wcześniej niż przed opanowaniem nauki mowy. Git! Trzeba tylko umiejętnie się targować. Negocjacje szły dobrze, aż doszliśmy do momentu omawiania wysokości opłat eksploatacyjnych i wówczas owa lejdi z głową od innego zestawu stwierdziła:

– Tak, jeszcze wywóz śmieci i zaliczka na zimną wodę. Ale dla jednej osoby to groszowe sprawy, coś około...

– Ech... Tylko nie jestem pewien, czy dla jednej osoby – odpowiedziałem trochę pokrętnie, bo kobieta zaskoczyła mnie założeniem, że poszukuję mieszkania tylko dla siebie.

– Pan więc ma... hm... partnerkę. – Ni to spytała, ni to stwierdziła właścicielka mieszkania. Przytaknąłem oszczędnie ruchem głowy i z sekundy na sekundę stawałem się coraz bardziej czujny. – Przyjechał pan sam, dlatego sądziłam... Wie pan... Staram się utrzymywać wysoki standard... Ale jeśli można wiedzieć – zaczęła dość nieudolnie się krygować – planują państwo dzieci?

I wszystko stało się jasne. Klamka zapadła. Cisza niezręczna także. Zmarnowałem tylko czas niepotrzebną wycieczką na Kabaty.

– Wyszliśmy już poza fazę planów. Żona jest w ciąży – odpowiedziałem w końcu.

Babon jeden począł mi tłumaczyć, że dzieciom to teraz wszystko wolno, że ona już raz wynajmowała mieszkanie młodemu małżeństwu (no, to akurat było miłe) i ci państwo to potem mieli dziecko (cóż za nietakt!) i że my też możemy mieć dziecko (cóż za zmysł dedukcji!) i że takie dziecko to sika oraz robi kupę (niesłychane! bo pani to na pewno nie robi kupy) i że niezawodnie obsikałoby luksusową, designerską kanapę Cordoba. Bo podobno dziecko poprzednich lokatorów obsikało fotel (Kofod Larsen Studio! Tapicerka z niemieckiego pluszu do wymiany!) i państwa dziecko, proszę państwa, też z pewnością obsika...

To nie jest mieszkanie dla ludzi z sikającymi dziećmi i pani poszukuje w zasadzie samotnej osoby, która wynajęłaby cztery pokoje z kuchnią, dwiema łazienkami i balkonem. Na takie *dictum* zacząłem zbierać się do wyjścia, a babsztyl wciąż pogarszał sprawę tłumaczeniami, że mieszkanie zaprojektowane właściwie dla samotnej osoby (sto metrów – absolutny standard dla singla w naszym kraju), kafle w łazience ściągane spod Barcelony, podłoga z drewna teakowego nieodporna na zarysowania, a kanapa Cordoba na specjalne zamówienie i producent robi wyłącznie białe i że sam pan rozumie.

Rozumiałem. Aż nadto dobrze. Na trójnożnym stoliku, przy którym siedzieliśmy, zaczęła warczeć i obracać się wokół własnej osi komórka gospodyni. Pani Elwira zadziwiająco prędko poderwała siedzenie z niemieckiego pluszu i podjęła rozmowę. Przemieściła się na balkon i stamtąd dochodziły do moich uszu pojedyncze sylaby.

A mnie zrobiło się niewymownie przykro. I nawet nie z powodu chybionej, a właściwie niedoszłej transakcji. Ale z powodu dziecka. MOJEGO DZIECKA. Krew z krwi, kość z kości... Dzieciątko maleńkie jeszcze w brzuchu... Jeszcze niczego nikomu nie zniszczyło... Bezbronne, nienarodzone. Przyjdzie na świat nagie, ale już obarczone winą, że śmie sikać. Poczułem się jak wilk – przewodnik stada, który zwietrzył świeżą krew. Rozszarpałbym chętnie tę kabacką purchawę. I nagle doznałem nieodpartego impulsu. Diabelskiego podszeptu. Chwyciłem szklankę z trójnożnego stolika z niedopitą wodą i wylałem ją na białą, designerską kanapę Cordoba (producent robi wyłącznie białe!). Utworzyła się elegancka kałuża o średnicy około czterdziestu centymetrów. A potem na niej spokojnie usiadłem. Czekałem jeszcze z półtorej minuty, aż do salonu powróci właścicielka lokum.

Poderwałem się na jej widok, dając sygnał, że pilno mi do wyjścia, i wtedy zobaczyła. Stała oniemiała z otwartą purchawią gębą. Próbowwała coś powiedzieć, bo wybałuszyła oczy i bezgłośnie poruszała wargami. Prawdopodobnie szok przyprawił ją o krótkotrwały atak afonii.

– O! Bardzo panią przepraszam! – udałem zakłopotanie. – To mi się niekiedy zdarza... Ale bardzo rzadko... Nie miałem okazji wspomnieć, że cierpię na pewną

przypadłość... Bardzo przepraszam. Ja po prostu w niektórych sytuacjach nie kontroluję oddawania moczu!



Przeciąłem aleję KEN w miejscu niedozwolonym. Chciałem jak najszybciej dostać się do metra. Począł na mnie trąbić jakiś baran. Zignorowałem. Oparł się o klakson. Nie dałem się sprowokować. Otworzył okno i wrzasnął na całe Kabaty:

– Doktorze Termosie!!!

O cholera! Grzesiek Siewierski. Jeśli są pewne sytuacje, w których człowiek niekoniecznie chciałby napotkać znajomą osobę, to mają one miejsce wówczas, gdy akurat życie przywiodło człowieka do takiego punktu, że paraduje po ulicy z mokrą dupą. Ale może przynajmniej Siewierski odwiezie mnie do domu... Czym prędzej wsiadłem.

– Słyszałem, że rozpieprzyłeś swoją kultową skodę. Patison przyszedł któregoś dnia, na internę. Powiedział mi.

– No, tak było.

– Będę go sprzedawał! – huknął Grzegorz i poklepał deskę rozdzielczą w swoim mondeo, jakby to było żywe zwierzę. – Tylko sto jedenaście tysięcy nim zrobiłem. Częściej w sumie jeżdżę...

– Daj spokój, stary! Aż tak bardzo to ja ci nie ufam – powiedziałem z pokerową miną.

– Pięcioletni. – Grzegorz ciągnął niezrażony. – Po dwóch większych awariach. Od zeszłej zimy ma zepsutą funkcję podgrzewania siedzeń... Wtrysk paliwa często się zapycha, sprzęgło do zrobienia, wewnątrz jakieś plastikowe gówienka się pourywały. Bo to całe mondeo to w ogóle taki luksus dla ubogich jest. Zderzak lekko wgnieciony, ale jak się ktoś nie przygląda, to bardzo nie widać. Wszystkie przeglądy w autoryzowanym serwisie.

– Mmm...

– Opony zimowe ci dołożę. – Siewierski przeniósł wzrok z szyby na mnie. – Prawie nowe, po jednym sezonie.

– Mmm...

– Ubezpieczenie masz na rok z góry zapłacone. – I znowu na mnie patrzy wyczekująco.

– Mmm...

– Nawigację ci zostawię.

– Mmm...

– Pełny bak ci zatankuję. Po korek. – Chwila milczenia. – Co jeszcze do cholery, chcesz? Mam ci felgi ozłocić?

– Nic nie chcę. W gaciach mam mokro, to się nie odzywam.

Siewierski w ogóle nie zareagował. Jakbym rzucił mało istotną uwagę o pogodzie. Znowu chwilę pomilczeliśmy. Przemęłłem wewnętrznie sprawę i po raz drugi dzisiejszego dnia zabrałem się za negocjacje.

– Oddasz za flaszkę?

– Za flaszkę i dwadzieścia tysięcy.

Siewierski zatrzymał się, bo właśnie dojechaliśmy na Kopenhaską.

– Dwie flaszki i dziesięć tysięcy – wysunąłem nową propozycję cenową.

– Kutwa z ciebie, pijawka i odrzyskóra parszywa... W życiu nie sprzedałbym go za dziesięć tysięcy... Może nawet trzydzieści bym wziął, jakbym miał czas naprawiać, sprzedawać, picować...

– Uporządkujmy! – odchrząknąłem. – Dwie flaszki, dziesięć tysięcy, opony, ubezpieczenie i pełny bak – podsumowałem. – No i wypada, żebyś wyprał tapicerkę, tak? – Wyszedłem z auta i wsparłem się łokciem o szybę. – W życiu bym go nie wziął, jakbym miał czas wybierać, kupować, picować...

– Załatwione!

Siewierski wysiadł z auta. Mocno i serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie na dobiecie targu.

Kapsułka dwudziesta piąta

8 października

Nad ranem Antoś przylazł do nas cały obrzygany. W naszej sypialni ponownie chlusnął czerwonawą zawartością na chodnik i pościel. Zacząłem dzień przed piątą rano od zmywania podłóg w dwóch sypialniach oraz zmiany pościeli. Taaak, w życiu czasem trzeba coś zmienić. Choćby pościel... Wolałbym wprawdzie wprowadzać zmiany, mogąc spać nieco dłużej niż cztery godziny. Ale zdaje się, że jako ojciec rodziny powinienem już powoli odwyknąć od tego typu fantazji.

Mam nadzieję, że Antoś szybko wydobrzeje. Podejrzewam, że po prostu znowu gdzieś wygrzebał słodczyce i natychmiast wszamał, ile było. Miłka próbowała mu dać węgiel, ale dzieciak miał jakieś złe skojarzenia i zacisnął usta do białości. Wyraźnie lekceważył Miłkowe perswazje. Jak zaczęła naciskać, to włożył pod łóżko i poinformował nas, że nie będzie jadł żadnego węgla, bo nie jest lokomotywą. Spróbowałem prostego zabiegu, czyli zapytałem syna, co by powiedział na *Carbo medicinalis*. W odpowiedzi usłyszałem, że Igor (przedszkolny przyjaciel syna) uważa, że lekarze nie zasługują na zaufanie. Hm, niebywała przenikliwość jak na sześciolatek...

A potem ledwo zdążyłem do roboty, aby móc czynić swoją powinność i leczyć tych, którzy nam ufają (lub przynajmniej chcieliby nam ufać), bo nie za bardzo mają inne wyjście. Na szczęście w planie miałem na dzisiaj tylko dwie laparoskopie. No właśnie – miałem. Zdążyłem wejść na blok operacyjny, patrzę, patrzę i co widzę? Do śluzy pcha się znana specjalistka od psucia wszystkiego, co kiedykolwiek dobrze działało. Król Midas na wspan, Mr. Hyde polskiej ginekologii – docent Iwona Struś we własnej osobie. I robi piekielną awanturę, że grafik z nią nieustalony, że Wyżyński nie wziął pod uwagę JEJ wskazań medycznych i naniesionych korekt (Wyżyński, chwalić Boga, nie jest głupi) i że teraz (ze śluzy!) kieruje nas na oddział. Bo ONA będzie operować swoją pacjentkę. Nagły przypadek.

Żaden nagły przypadek, tylko chroniczny, zastarzały, nieustępliwy, nieuleczalny, lekooporny, beznadziejny przypadek głupoty ordynatorowej... Brak mi słów. Takich cudów nasz oddział jeszcze nie widział, pominąwszy sytuacje, kiedy w grę wchodzi czyjeś życie.

Patrzyliśmy całym zespołem na tę narwaną pularde, a duch ciężkiego absurdu unosił się nad nami. Wyszliśmy stamtąd w milczeniu. Z ciekawości sprawdziłem, kogo i dlaczego operuje nasza gwiazda. Otóż Strusiowa odwołała

dwie zaplanowane laparoskopie, żeby... zrobić laparoskopię.

Zrobiłem sobie kawę z odrapanego ekspresu i poszedłem do gabinetu, który za parę dni powinienem zasiedlić. W poniedziałek odbiorę nominację na koordynatora międzynarodowego projektu „New technologies in gynecology”. Kierownik administracyjny zlecił już umeblowanie. W pokoju postawili mi coś na kształt peerelowskiej meblościanki. Paskudne to jak powikłania po grypie, ale nie szkodzi. Zastawię książkami.

– Pani Anielo, był tu Szroniewski? – usłyszałem zza ściany, jak Patison pyta o mnie naszą sekretarkę.

– Jestem, jestem, włącz. – Otworzyłem drzwi na oścież.

Patison rozejrzył się, gwizdnął z podziwem i usiadł na biurku.

– W tym kącie – wskazałem brodą – mają być jeszcze fotele i stolik. A na razie jest, co jest...

– No, no, no... To wszystko ci się, Termos, chyba w sumie nieźle układa.

Patison zapatrzył się w okno na łuszczącą się wielkimi płatami fasadę kamienicy Wetterów.

– Tak, wiesz, wyśmienicie mi idzie. Jak kurwie w deszcz mniej więcej!

– Uhu! – Patison postawił oczy w słupek. – Gadasz jak nie ty.

– Bo być może ja to już nie ja. Mam gabinet i prestiżowy program, bo akurat na tę działkę jest kasa, a dziesięć metrów dalej leżą pacjentki z guzem jajników trzeciego lub czwartego stopnia, bo nie ma pieniędzy na ucziwą diagnostykę w przychodniach. Finansowanie ze środków publicznych. Muszę wziąć tę robotę choćby dla kasy... Siedzę na oddziale do nocy i zawijam w te sreberka... I przez co najmniej pół roku, zanim ten paszczur przebrzydły – wskazałem głową gabinet naprzeciwko – nie pójdzie na emeryturę, będę tkwił vis-à-vis jej gabinetu i mijał ją w drzwiach na dzień dobry.

– Pół roku minie jak z bicia strzelił. – Patison metaforycznie zademonstrował ulotność chwili, strzeliwszy palcami. – A potem będziesz sobie tu siedział spokojniutko jak u Pana Boga za piecem.

– Dałeś do pieca – bąknąłem. – Posiedziałeś kiedyś spokojniutko w naszej klinice?

– Jeszcze nie, ale może mnie kiedyś usadzą? – Patison rzucił w przestrzeń i zaczął się bawić zamykaniem i otwieraniem skrytek w moim nowym biurku. – Co to jest? – Wyjął ulotkę RC Banku z przypiętym zszywkami regulaminem udzielania kredytów hipotecznych.

– No, jak widzisz... Będę musiał oddać diabłu duszę za parę srebrników. Mówiłem ci przecież, eksmisja z Kopenhaskiej na wiosnę.

– Ale znajdź coś innego. Nie bierz u nich kredytu! – Patison z odrazą rzucił papierami. – Znam ten bank. Oni ci jaja wyciągną przez portfel.

– Mam jakieś wyjście? W życia wędrówce na połowie czasu, straciwszy

z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi czarnego znalazłem się lasu.

– W czarnej dupie znaczy się. – Mój przyjaciel dokonał uproszczonej egzegezy klasyki literackiej.

– No. – Spuściłem łeb. – Coś takiego.

Czas gonił. Wyszliśmy z gabinetu koordynatora *in spe* międzynarodowego programu „New technologies in gynecology”. Naprzeciwno, przy otwartych drzwiach, pod nieobecność Strusiowej, pani Aniela spryskiwała dorodne skrzydłokwiaty, którymi ordynatorowa poobstawiała półki. Pani Aniela odwróciła się do nas.

– Ładnie rosną, prawda?

Patison tylko się uśmiechnął. Już za drzwiami dorzucił:

– To roślinny bagienne są. Naturalne środowisko Strusiowej.



Powinienem był zdążyć po Antosia do szkoły, ale nie dałem rady. I to nie jest, cholera, dobrze. Należy bardziej oszczędzać Miłkę. A i dzieciaki już posną, zanim zdążę wrócić z Medicusa. No ale na razie gra idzie o to, żeby najpierw tam zdążyć. Tymczasem wpakowałem się w taki korek na Grójeckiej, że chyba postoję tu do północy. Z nudów posprawdzałem wszystkie skrytki w samochodzie Siewierskiego, w zasadzie już moim. Ale jakoś nie zdążyłem do niego przywyknąć – przedmiot użytkowy i tyle. Dziesięć lat temu takie mondeo to by było coś, a teraz, *mon Dieu*, blaszana puszka. Najlepszy dowód na to, że młode wino należy pić w młodym wieku.

A korek stoi jak stał. Z nudów wyciągnąłem telefon. Pomyślałem, że sprawdzę, czym żyje mój kraj. Gdzie ja właściwie sprowadzam te oporne maleństwa, które trzeba wyciągać kleszczami? Przeczytałem nagłówki artykułów popularnego portalu informacyjnego. Zdobyłem pewną wiedzę. Otóż dowiedziałem się, co następuje:

– „Doda na balu z narzeczoną bez stanika” (jeszcze do niedawna narzeczonej w staniku stanowił jednak anomalię);

– „Wojewódzki spocił się pod pachami” (gdyby pocił się paznokciem palucha wielkiego, sprawa byłaby jednakowoż bardziej zajmująca);

– „Maffasion zapuszcza grzywkę” (przydałaby się transmisja na żywo);

– „Aktorka z »Na Wspólnej« sypia z byłym i obecnym chłopakiem” (i chyba połową redakcji, żebyśmy mogli dowiedzieć się o tym wzniosłym f-akcie);

– „Żona piłkarza źle ocenia pracę rządu w ostatnim kwartale” (Wow!);

– „Monet skradziony i odzyskany przez poznańską policję” (Jezu!).

Potem już nic nie przeczytałem, bo wyświetliła mi się reklama na całą

stronę:

„Weekend w zamku dla dwóch osób 299 zł” (ja bym jednak miał klaustrofobię).

Nic tylko usiąść i zapłakać. Właśnie tym powinniśmy się zajmować. W kraju, gdzie emeryci dostają osiemset złotych, młodzi tysiąc trzysta na kasie u Francuza dojącego polską gospodarkę, gdzie zapisy do endokrynologa zaczynają się za dwa i pół roku, gdzie przemysł odnosił ostatnie sukcesy za Gierka, gdzie nauczyciela nie stać na książkę.

Syf, bieda, brud, malaria, korupcja, nepotyzm – zajmujmy się żoną piłkarza z ekstraklasy lub klasą ekstrażony, rozwiążmy quiz na temat stanika żony rolnika i zagłosujmy w sondzie na temat koloru krawata prezydenta.

Lekko mnie zemdliło.

Są może jakieś inne miasta? Inne kraje? Lub może jakiś inny globus?

Telefon przerwał mi zabawę. Mamusia.

– Tomaszku, Tomaszku... Ja strasznie źle się czuję. Bardzo boli mnie w piersiach...

Owionął mnie upiorny chłód. Drżącą ręką wybrałem numer do Katarzyny Byrcyn.

Kapsułka dwudziesta szósta

9 października

Powietrze było gęste i smrodliwe. Gdyby w sali zamiast czterech starszych dam ułożył czterech zdrowych byczków, ci niezawodnie dostaliby duszności. Sam chyba zaraz skończę z obturacją oskrzeli. Zawiasy w starych skrzynkowych oknach robiły wrażenie zapieczonych. Przeszedłem parę kroków od mamusinego łóżka, aby przyjrzeć się klamce. Pochwyciłem na sobie stężyły wzrok staruszki z oplecionym wokół głowy cienkim warkoczem.

– Tylko niech pan okna czasem nie otwiera. – Uniosła palec. – Tu i tak drzwiami ciągnie z korytarza. Przeciąg się zrobi. – Kobicina przeciągała samogłoski na wschodnią modłę. – Jak to mówią, przecież od smrodu jeszcze nikt nie umarł.

– Nie byłbym taki pewien – zaszemrałem pod nosem.

Opuściłem jednak dłoń, zanim zdążyłem dotknąć klamki. Żyję już dostatecznie długo, żeby wiedzieć, iż podejmowanie dyskusji ze starszą panią na temat przeciągu ma mniej więcej taki sens jak perswadowanie trawie, żeby rosła korzeniami do góry. Wróciłem na stół przy mamusiny łóżku.

Mamusia nie wyglądała zbyt dobrze. Podkreśliłem kroplówkę, ale i tak wciąż powoli wpływała w mamusine żyły.

– Co oni mi dają, Tomaszku?

– W tej z żółtym paskiem masz aminofilinę. A w tej drugiej – obróciłem pojemnik – masz amoksyicyklinę z kwasem klawulanowym.

– Co?

– Nieważne. Antybiotyk. Szybko cię zreperują, zobaczysz, mamusia...

Pomogłem mamusi usiąść i poprawiłem poduszkę, a dokładniej rzecz biorąc, ciężki kłęb nie wiadomo czego w licej powłoczce.

– Poproszę Miłkę, żeby znalazła ci jakąś lepszą poduszkę. Chyba nie sposób spać na tym kamieniu.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mamusia zszarzała jeszcze bardziej na dźwięk imienia swojej synowej i że poduszka przygotowana rękami mojej żony nie przyniosłaby chorej mamusi spokojnych snów.

– Widziałeś się z ordynatorem, tak jak mówiłeś? – Oczywiście natychmiast zmieniła temat.

– Tak. Zrobią ci echo serca, może koronarografię, wyrównają oddechowo i do domu. Musisz zrobić miejsce naprawdę chorym ludziom.

– To przecież ja, ja jestem chora – zachnęła się mamusia i potępieńczo

zakasłała na dowód swoich słów.

– Może trochę jesteś. – Popatrzyłem na jej dłoń z wystającym wenflonem. – Ale przede wszystkim jesteś chora po to, żeby zrobić mi na złość.

– Nonsens! Co ty za bzdury opowiadasz? – Mamusia badawczo łypnęła okiem na sąsiednie łóżko, żeby sprawdzić, czy nikt nie przysłuchuje się naszej rozmowie. – Ta wspaniała, młoda lekarka, którą mi przysłałeś, tylko na mnie zerknęła i od razu wiedziała, że to wygląda na zapalenie płuc. Cudowna dziewczyna z tej Kasi. Taka zaradna, pomocna, opanowana...

– Taaak, Kaśce niczego nie brakuje.

– A jak ona o tobie się wyrażała! Że taki masz autorytet, że wzór dla wszystkich, że pacjentki wszystkie chciałyby z tobą rodzić.

„Dobrze, że nie płodzić, bo bym nie dał rady”, przeszło mi przez myśl.

Mamusia wyraźnie się zasapała, więc nie podejmowałem wątku. Ale moja rodzicielka nie z tych, które odpuszczą raz powzięty plan wyłuszczenia swoich jedynie słusznych racji.

– I jaka ta Kasia urodziwa! Tak z oczu to mi Grace Kelly przypomina. Cera jak krew z mlekiem, włosy jak u Madonny Sykstyńskiej... Mój Boże! Ja całe życie marzyłam o takiej dziewczynie dla ciebie.

– Nie, nie marzyłaś. Tak ci się tylko zdaje.

W drzwiach pojawiło się pół sylwetki oraz cała głowa kobiety w nieokreślonym wieku, o chytrych, ruchliwych oczach. Rozmowy w sali przycichły i wtedy gruby głos doświadczonej handlary wychrypiął swój reklamowy poemat.

– Majtki, skarpety, koszule nocne, bielizna.

„Ciekawa stopa metryczna”, pomyślałem. Chyba trochę, choć momentami wbrew akcentowi paroksytonicznemu... Chciałbym mieć trochę więcej czasu na wiersze. Jakoś nagle zatęskniłem za poezją, ale szybko się ocknałem.

– Ty sobie tylko wmówiłeś, że ja jestem taka zła! – Widać, wróciliśmy z mamusią do zaniechanej dyskusji. – Albo ona ci wmówiła!

– Kaśka?

Pogubiłem się już.

– Nie Kaśka, tylko ta twoja...

– Moja żona, a twoja synowa! Miłka ma na imię. – Zagotowałem się wewnątrz, ale zacisnąłem zęby. – A ty znowu zaczynasz!

– Tomaszku, ja niczego nie zaczynam. – Mamusia posłała mi szklane spojrzenie. – Ja... ja... ja... – zaszlochała teatralnie – kończę!

– Kończysz?

– Tak, kończę!!! Mam już sześćdziesiąt dziewięć lat prawie. Dostałam zapalenia płuc, a przy mojej chorobie wieńcowej... To już wszystko długo nie potrwa. – Odwróciła wzrok. – Ja i tak... nie mam dla kogo żyć!

Zrozumiałem. Zrozumiałem, że dzisiaj zaczyna się w moim życiu spektakl pod tytułem „Ja umieram, czuj się winny”. W roli głównej pani Szroniewska, seniorka. Karnet na wszystkie przedstawienia otrzymuje jej syn, Tomasz Szroniewski. Abonament promocyjny. Nie podlega zwrotowi ani wymianie.

– Mamusia, dziecko się urodzi lada moment. Byłoby mi trochę lżej, gdybyś umiała się z tego cieszyć. – Spuściłem oczy. – W grudniu, w drugi dzień świąt ochrzczymy Tolę. Więc daję ci czas do Bożego Narodzenia. Masz wyzdrowieć, odstrzelić się w najlepsze futro i udawać wzruszoną babcię. Potem zjesz z nami obiad, wrócisz do domu i spokojnie będziesz mogła nadal snuć fantazje, że wolałabyś inną synową, innego syna lub inny świat...

– Jak ty nic nie rozumiesz, synu – syknęła mamusia.

– No! – zgodziłem się. – To rodzinne jest, po matce! Skostniałe, niereformowalne nierozumienie. Wstaję rano i nie rozumiem. Czasami nawet nie rozumiem, czego nie rozumiem... I nie rozumiem coraz bardziej i częściej.

– To ja ci powiem. – Mamusia odkrztusiła. – Nie rozumiesz, że zanim umrę, chciałabym zobaczyć...

– ...jak żyję wedle scenariusza, który dla mnie ułożyłaś. – Sam poczułem się już zmęczony tą potyczką. – Dajmy spokój. – Opanowałem się i ściszyłem głos. – Odpocznij trochę. Jutro postaram się podrzucić ci coś ciekawszego do czytania. W kiosku na dole tylko tyle mogłem dostać.

Przełożyłem ze stolika na koldrę dwa kolorowe magazyny.



Zatrzymałem się na korytarzu, żeby przytrzymać odrapane skrzydło drzwi. Wyniszczony chorobą, stary człowiek z nadludzkim wysiłkiem przesuwiał balkonik centymetr po centymetrze. Ramię mężczyzny przytrzymywał przyszczaty nastolatek. Przeszli. Nadal jeszcze trzymałem drzwi, żeby mieć pewność, że nikogo nie uderzą. I tę sytuację wykorzystał jakiś kurdupel z wielkim bukietem kwiatów, które miał na wysokości twarzy.

– Kuzyn! No się nie spodziewałem. – Jerzy Zemła odskoczył nerwowo na mój widok i po chwili znów sobie przysłonił czerep badyłem w celofanie. Szlag by! Jeszcze mi tylko on dzisiaj potrzebny... – Trochę owoców żem stryjence kupił. I herbatę z miętą i limonką. Chciałem czarną, ale były same aromatyzowane...

Zauważyłem, że Jerzyk gwałtownie macha rękami (a właściwie jedną wolną ręką) i mówi jeszcze szybciej niż zwykle (oraz równie głupio co zawsze).

Pożegnałem się, ale krzyknął za mną i wyciągnął rękę.

– Stryjenka mi mówiła, że się musicie wyprowadzić, co nie? To tak żem se pomyślał... Bo chodzi o to, że mój taki jeden kumpel, Aleks, to ma na Saskiej

Kępie, tam niedaleko was, mieszkanie. Na inwestycję kupił. Będzie wynajmował. Chcesz, to masz tu namiary.

– Dzięki! – Przejąłem wizytówkę z rąk Jerzyka. – I spróbuj ją jakoś rozweselić. – Brodą wskazałem drzwi do mamusinej sali.

– Się rozumie, kuzyn!



Na parkingu, zanim odjechałem sprzed szpitala, wyciągnąłem telefon. Pomyślałem, że zapewne zgubię wizytówkę, więc warto wysłać zwięzłego mejla do owego Aleksa. Wystukałem krótki tekst, żeby dowiedzieć się o cenę i wielkość mieszkania, a potem odjechałem sprzed Szpitala Praskiego do swojej roboty, na Przydrożną.

Wieczorem przyszła odpowiedź od Aleksa:

Gandawska/89 m²/5000 m-c + kaucja. Aleks R.

Wydawało mi się, że należy odpowiedzieć, więc odesłałem mejla:

Drogo! Nie jestem zainteresowany. Ukłony. Tomasz Sz.

Za chwilę odebrałem kolejnego mejla:

Drogo??? To przecież Saska Kępa!!!

Odpisałem:

Drogo! To przecież Kaska Sępa. Więcej ukłonów. T.Sz.

Chyba mnie porąbało, żeby podejmować próby jakichkolwiek działań z Jerzykowego poruczenia.

Kapsułka dwudziesta siódma

17 października

Wstałem o wpół do ósmej. Wszyscy spali. Na palcach podreptałem do kuchni. Znalazłem w chlebaku czerstwego rogalą, wbiłem w niego zęby i zapiłem zwietrzałą colą.

– Eko-Sielanka zamiast śniadanka – powiedziałem do siebie, bo mnie rym złożyć, to jak drugiemu splunąć.

I w drogę.

Pojechałem wzdłuż Wału Miedzeszyńskiego, skręciłem w prawo i poruszając się drogą lokalną 727, znalazłem się koło Falenicy. Zatrzymałem się na szutrowej drodze pomiędzy rozwalającą się budą a domem weselnym. Wiedziałem, że jestem prawie u celu, bo na skraju sosnowego zagajnika kiwał się na wietrze drogowskaz do osiedla Eko-Sielanka. Dwa i pół kilometra w prawo. Nieczynny warsztat samochodowy naprzeciwko wygląda, jakby wahał się, czy zawalić się już teraz, czy jednak trochę później. Za nim przycupnęły pokraczne baraki. Pierwszy rzut oka na organizację przestrzenną okolicy nie wzbudził we mnie optymizmu, ale postanowiłem się nie uprzedzać. Jadę dalej. Droga szutrowa przeszła w drogę wysypaną tłuczniem. Zgodnie z nazwą tłukę się po niej dwadzieścia kilometrów na godzinę. Przejechałem obok gęstej tarniny. Potem krzaki zaczęły rzednąć, moja mina także.

Dojechałem.

Na środku pola, prostopadle do wiślanych wałów zagrodzono litym murem sporą działkę. Mur w kolorze łososiowym upstrzył niebrzydkie łąki łęgowe.

Łososiowy intruz wygląda jak baza obcych na polskiej łące. Ufo jakieś normalnie. Przypomni mi się Kazimierz Przerwa-Tetmajer: „Wolę polskie gówno w polu niż fijołki w Neapolu...”. Podzielał patriotyzm Tetmajera, ale żeby mieszkać na takim zadupiu, bez porządnej drogi, bez żadnej infrastruktury... Może i byłaby to dobra oferta dla ojców pustyni, ale raczej nie dla ojca trojga dzieci.

Skoro jednak przytułałem się do rzekomej Eko-Sielanki w sobotę o ósmej rano, pójdę i zobaczę, jakie cudo ukrywa łososiowy płot. Zameldowałem się przy mikrofonie, zaszemrał brzęczyk i wszedłem na tereny nadwiślańskiego luksusu. Dwadzieścia cztery wążutkie segmenty wyglądały jak klocki lego na planszy świata. Koszarowy, łososiowy porządek.

Pod dwoma numerami przyuważyłem samochody na podjazdach i jakieś doniczki w oknach – znak, że te domy ktoś zasiedlił. Pozostałe zionęły pustką.

– Pan Tomek! Jakże rad jestem, panie Tomku, że pan się zjawił – dobiegło

zza moich pleców.

Odwróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Jakże pan jest rad?

Przede mną stał nieco zbity z tropu długowłosa, wybujała, śliczny, elegancki, wymuskany młokos. Buzia-różia. Elegancki. Nadekspresyjny w ruchach. W zanadto dopasowanym garniturku. Jego wykalkulowana radość przygasła na chwilę, ale zaraz się ożywił:

– Szczerze powiem, że świetnie pan trafił!

– Żaden sukces, mam nawigację – skłamałem.

Długowłosa być może zaczął pojmować, że do niczego nie zachęci mnie swoim urokiem osobistym, i w milczeniu udaliśmy się w stronę pokazowego segmentu.

Już na ciasnej uliczce było widać, że segmenty są upakowane gęsto jak fotele w Ryanair. Wrażenie ścisku i nadmiernego naporu ścian łatwo wytłumaczyć: sto czterdzieści cztery metry kwadratowe, ale na trzech kondygnacjach.

– Tuż przy wejściu mamy garderobę dla gości.

Chudy zamachał mi przed oczami fantazyjnie wygiętą metalową rurą z haczykami.

„To niepotrzebnie, bo nie jestem bardzo gościnnie”, pomyślałem. Ale się nie odezwałem, bo szkoda czasu na pogaduszki z młodym. Chciałem po prostu rzucić okiem na wnętrze.

W salonie młody popadł w jakąś niemal poetycką improwizację, powoli podniósł palec wskazujący i oznajmił z namaszczeniem:

– Podłoga jest, panie Tomku, e-po-ksy-do-wa-na! Tylko do końca listopada sprzedajemy domy w systemie standard plus z taką podłogą jak ta.

– Świetnie, świetnie... E-po-ksy-do-wa-na, sześć sylab! Nie byle co, ale wolałbym dREW-no, dwie sylaby, sześć liter.

– Szczerze panu doradzę – długowłosa złożył dłonie „na amen” – drewno jest *passé*: drogie, nieodporne na zarysowania, dlatego współcześni projektanci – słysząc, że jedzie wyuczonym na pamięć tekstem z katalogu – stosują materiały uniwersalne. Kompozycje...

– Mam ostatnie pytanie. Otóż z jakiego miejsca roztacza się – wyjąłem z kieszeni ulotkę, żeby się wesprzeć cytatem – „widok na pradolinę Wisły”?

– Zapraszam na piętro! – Podążyłem grzecznie za wiotkim chłopcem. – Proszę tylko spojrzeć.

Patrzę, patrzę, gały wybałuszam i jak mi Bóg miły, nie widzę śladu żadnej rzeki. Kałuży nawet nie ma.

– Widzę parkingową zatoczkę.

– Słusznie, słusznie. A za zatoczką? – Elegancki wskazał kierunek. Ewidentnie robi ze mnie idiotę.

– Śmietnik – mówię, co widzę.

– Buudyyynek gospodarczy! – zachnął się elegancki.

No przecież! Deweloperskie działki sprzedaży nie używają takich koszmarnych słów jak śmietnik, szambo, kanalizacja... O tym dżentelmeni nie rozmawiają.

– A za nim jest, proszę pana, praaaadolina Wisły. – Młody zarzucił włos.

– Pra-dolina naszej rzek królowej – rzekł w niemalże wieszczym natchnieniu.

– Rzek królowej? Widok na pradolinę za parkingiem i śmie... to jest, śmiem twierdzić, budynkiem gospodarczym? To może by państwo byli uprzejmi chociaż jakąś fototapetę...

Energicznie zszedłem po schodach. Młody zaskoczony podreptał za mną. Wszak to on dysponuje pilotem do bramy. Zupełnie niepotrzebnie podjął desperacką próbę nawracania mnie na pseudoekologiczną wiarę.

– Pierwotny związek z naturą leży u podstaw projektu Eko-Sielanki. Nasze domy niebawem zasymilują się z naturą, one wręcz wtopią się w tutejszy krajobraz.

– Chce mi pan powiedzieć, że te tereny są zalewowe? Czy chodzi o to, że paru gości utopi kasę na wasze cud-segmenty?

– Za dwa, trzy lata nasze osiedle to będzie najgorętszy, proszę pana, podwarszawski adres. A nad Wisłą będą odbywać się coroczne ekopikniki. Celebryci, proszę pana, biznesmeni. Te domy będą świetną inwestycją.

– Jaaasne! Wywalić betonowy bunkier na środku łąki i zapieprzać co rano parę kilometrów po bułki, aż do Wału Miedzeszyńskiego, to jest czysta – szczerze panu powiem – ekologia...

– Źle mnie pan zrozumiał. Ja miałem szczerze intencje uświadomić panu...

Doszliśmy do pierwszego segmentu-biura. Brama otworzyła się z cichutkim szemraniem.

– Szczerze to tu jest, proszę pana, tylko pole. Do widzenia.

Kapsułka dwudziesta ósma

24 października

Na oddziale ucichło dopiero przed szóstą. Usiadłem do komputera. Szpital Ginekologiczny w Łodzi przesłał wreszcie wyniki ostatnich badań. Muszę je teraz przekazać pani profesor Bregje Jansen op de Haar z Lejdy. Byłoby szybciej, gdybym mógł wysłać goły papier i po prostu do niej zadzwonić... Ale kłopot w tym, że Bregje pochodzi z małego przygranicznego miasta koło Akwizgranu. Rozmowy z nią po angielsku wyglądają tak, że zaczyna mówić w języku Szekspira, po dwóch minutach wplata pojedyncze słowa holenderskie. Potem wplata pojedyncze słowa angielskie w mieszaną niemiecko-holenderską. Wydaje jej się, że wszystko rozumiem, więc mówi dalej. Rozpoznaję coraz więcej słów niemieckich. I rozmowa kończy się *Auf wiedersehen. Ich rufe Sie an, wenn ich etwas Neues habe*. Sam jestem sobie winien. Trzeba się było uczyć języków... Napisałem w nowym dokumencie: „Szroniewski, ty nieuku jeden!”. Złożywszy samokrytykę, poczułem się nieco lepiej. Z posiadany, niewielkim, bo niewielkim, ale jednak jakimś zapleczem intelektualnym, zabrałem się do roboty. Sprawnie poszło mi z listem. Kiedy skończyłem, zobaczyłem, że już dwanaście po siódmej.

Bardzo się starałem, żeby zdążyć do księgarni i kupić mamusi coś do czytania, jakem obiecał. Wczoraj mi się nie udało. Pomyślałem, że dzisiaj to już mus, bo jednak biedaczka leży chora.

Zaparkowałem niedaleko pałacu Szlenkierów, w biegu odebrałem nowe spodnie po poprawkach krawieckich i rzuciłem się w poprzek skweru przy placu Dąbrowskiego. Za mojej młodości na rogu Jasnej i Kredytowej była jedna z najlepszych warszawskich księgarni. Kupiłem tam większość podręczników do interny ponad dwadzieścia lat temu. Do dziś pamiętam zapach tego miejsca. I godziny otwarcia – w latach dziewięćdziesiątych mieli czynne do dwudziestej. Widok ogromnych secesyjnych okien w witrynie narożnej kamienicy niemal zaczął mnie rozczulać... Mimo to z każdym krokiem zacząłem nabierać wątpliwości. Za wielkimi szybami z giętego szkła wisały ciężkie, aksamitne zasłony. Zadarłem głowę i dojrzałem pulsujące na czerwono światło. Na samym rogu, tuż pod wejściem, jarzył się dyskretny – i muszę przyznać uroczy – neon: Gentleman's Club LIBIDO. W drzwiach pojawił się mężczyzna z przylizaną fryzurą i kucykiem, ubrany w coś na kształt liberii.

– Zapraszamy! – Zachęcił mnie gestem dłoni. – O dwudziestej mamy pokaz specjalny.

– Nie. Dziękuję. Ja tu w sprawie... literatury przyszedłem.

– Jest opcja!!! – Ożywił się przylizany. – Przy stoliku trzeba zamówić „premium fantasy” i zrobią wieczór tematyczny szanownemu panu.

– Jednak dziękuję – uciałem stanowczo. – Pójdę raczej do Empiku... przelecieć jakąś książkę – wymruczałem do siebie.



Jak powiedziałem, tak zrobiłem. Przedarłem się przez dział drobnych sprzętów AGD, strąciłem stosik jakichś bambusowych misek oraz foremkę do pieczenia w kształcie głowy kota i poszedłem przestudiować listę bestsellerów. Ostatnio nie jestem na bieżąco z nowościami.

Długo stałem przed półką najpoczytniejszych pozycji. To w ogóle nie są książki! Hitem roku są kolorowanki dla dorosłych. Zajrzałem. Wzory secesyjne, arabeski lub dżungla miejska. Być może niezłe dla osób z głęboką demencją oraz całkowitym zanikiem odruchów proprioceptywnych... Zaraz potem znalazłem *Zniszcz tę książkę* i coś w rodzaju instrukcji, jak pokonać papier (podrzeć, zjeść, nasikać). Następnym hitem są publikacje typu „połącz kropki”.

Jak patrzę na te bestsellery, nasuwa mi się myśl, że *Elementarz* Falskiego to jednak była pozycja dla tuzów intelektu! Książki z literami zaczynają się gdzieś od dwunastego miejsca. I są to kryminały. Bardziej rozgarnięta część społeczeństwa czyta kryminały. Wychodzi na to, że przeciętny klient Empiku jest idiotą albo psychopatą. Modlę się, żebym nie spotkał na swojej drodze osoby, która łączy te dwa przymioty.

W końcu kupiłem mamusi *Dzienniki* Iwaszkiewicza i nowe wydanie *Profesora Tutki* Szaniawskiego.

Jeszcze przy kasie w lewej kieszeni rozszumiał się mój nowy, służbowy smartfon. W ostatniej chwili zdążyłem odebrać.

– Zaczęło się – powiedziała pozornie spokojnym głosem Miłka.

Kapsułka dwudziesta dziewiąta

25 października

Antonina Szroniewska.

Waga: 3405 gramów

Wzrost: 51 cm

10 punktów w skali Apgar.

Poród naturalny. Odśluzowano. Zaopatrzone pępowinę.

Data urodzenia: 25 października 2015 r. Godzina 2.59.

Godzina, w której należy cofnąć wskazówki zegara na 2.00. Przejście z czasu letniego na zimowy. Dla mnie to przejście przez Morze Czerwone. I nic już nie będzie letnie. Nigdy.

Kapsułka trzydziesta

10 listopada

Nie chcę pieniędzy. Nie chcę awansów (już i tak zanadto...). Nie chcę nowego samochodu. Nie chcę nowej kobiety (ani mężczyzny). Nie chcę radośnie spędzać czasu z przyjaciółmi (i tak ich zresztą nie mam) ani pognębić swoich wrogów (paru by się znalazło). Nie pragnę wzruszeń przy kantatach Bacha ani płótnach Vermeera. Nie chcę zobaczyć rafy koralowej ani na Preikestolen zadumać się nad ulotnością życia. Nie chcę poczuć chłodu katedry w Amiens ani bryzy od morza w Lido de Laguna.

Chcę spać.

Kapsułka trzydziesta pierwsza

22 listopada

Coraz bardziej nerwowo krążyłem po pokoju i coraz częściej rzucałem spojrzenia w stronę okna. Tola najpierw zawodziła jak muezzin, potem zaczęła pojękiwać, a od kilku minut ciągnie mnie tą swoją maleńką rączyną za podkoszulek. Szuka cyca. Kłopot w tym, że odpowiednie cyce przytroczone do ich właścicielki powinny były wrócić dwadzieścia minut temu. Wariant z butelką na razie odrzucam. Bo jak się diabeł tasmański przyzwyczai do łatwej dystrybucji mleka, to potem nie zechce ciągnąć z piersi. Antoś, dobre dziecko, zainteresował się losem siostry i przyniósł Toli ulubioną wyścigówkę. Zaraz potem był zawiedziony, że siostra nie doceniła gestu. Przyglądał się jej dość beznamyślnie i zobaczył, że z małej buzi toczy się nitka spienionej śliny.

– E... Ona nie ma czasem wścieklizny? – Wysunął diagnozę.

– Nie sędzę.

Pytanie Antosia przypomniało mi wielkiego jak mamut stolarza z otwockiego szpitala i jego niezapomniany talent narracyjny.

Mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Czekaj, czekaj... – Dość nieporadnie manewrowałem lewą ręką (bo prawą przytrzymywałem Tolę) w wewnętrznej kieszeni płaszcza. – To dla ciebie. Podąłem Antosowi podłużną kopertę. Zajrzał do środka i podskoczył w miejscu jak zając.

– Skąd wiedziałeś, że chciałem te karty z Messim? – Seria podskoków. – Jak pokażę w szkole chłopakom, to normalnie...

– To nie ja wiedziałem – zeznałem prawdę. – Jak jeszcze chodziłeś do przedszkola i tłukłeś się z Michałkiem Procem, to potem w szpitalu spotkaliśmy takiego chłopca na wózku. Pamiętasz?

– No pewnie! Kamila!

– To ten Kamil i jego mama przysłali list do szpitala, żeby podziękować...

– Super, człowieku! – Młody naprawdę się ucieszył. – Dobrze, że go wyleczyłeś. Spoko z ciebie gość.

– Antoś. Ja go wcale nie wyleczyłem...

– Jak to nie? – Popatrzył z mieszaniną zdziwienia i wyrzutu. – To on mi dał takie czaderskie karty, a ty go nawet nie wyleczyłeś?

– Nie potrafię! – Spuściłem wzrok. – Ale przypilnowałem, żeby jego mama wyzdrowiała.

Czułem, że to marne tłumaczenie, i się nie pomyliłem, ponieważ znalazł

rozłożonych futbolowych kart Antoś bąknął:

– To co ty w ogóle umiesz?

Dzieciak podwracał część kart spodem do góry. Próbowałem coś tłumaczyć, że nowy program, że może kiedyś, że postępy medycyny... Ale ponieważ dzieci żyją raczej perspektywą „tu i teraz”, Antek nie bardzo słuchał, co prawię, przerwał mi w połowie słowa.

– Dobrze, że mama już idzie!



Zdyszana Miłka wpadła do pokoju, rzuciła płaszczem i padła na swój ulubiony fotel. Przystawiłem jej wygłodniałe niemowlę. Tola z taką determinacją przyspawała się do cyca, że nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nawet gdyby Miłka wstała, młoda by nie odpadła. Wpatrywałem się chwilę w układ ssąco-tłoczący. Miłkowe piersi łagodnie opadały, a brzusek małej wypełnił swoją objętością całe bladoniebieskie śpioszki. Opróżniwszy dwie cysterny ze świeżym mlekiem, dziecko Tola zasnęło snem sprawiedliwego. A ja poszedłem smażyć półtuszkę z dorsza.

– Gdzie jest estrogen?

Uchyliłem skrzydło drzwi, żeby moja żona mogła udzielić mi podstawowych informacji kulinarnych.

– To raczej ty powinieneś wiedzieć. Głównie chyba w jajnikach – odpowiedziała mi zza ściany żona moja przemądrzała. A ja uświadomiłem sobie, co powiedziałem (ginekolog zawsze i wszędzie!). – A estragon, gdyby cię interesowało, skończył się.

– Dobra, jest cząber i tymianek. Starczy. A szybko mam smażyć tę rybę czy wolno?

– Zależy. Jeśli jesteś głodny, to szybko, jeśli nie bardzo, to wolno.

Pani Szroniewska nie wydawała się dobrze usposobiona do świata. Postanowiłem się więcej nie odzywać. Jeśli będę miał coś jeszcze do powiedzenia, to po prostu spojrzę rybie w mętne oczy. Na pewno mnie wysłucha z otwartą gębą.

– Patrz! – Miłka stanęła na wprost mnie. – U optyka byłem.

– I co?

– Gucio w zoo. Okulary mam nowe! – Miłka zabrała się za rozszarpywanie sałaty. – Jakoś mi się trudno przyzwyczać...

– Chyba normalne. Jak miałabyś się przyzwyczać pierwszego dnia?

– Nie... Nie chodzi o same okulary czy coś... Tylko tak... depresyjnie. Kolejny stopień wtajemniczenia w drodze do bycia geriavitem absolutnym.

– Oj...

Kawałek ryby mi się rozpadł podczas akcji przenoszenia z patelni na talerz.

– Mam te wszystkie inhalatory od dziesięciu lat, a teraz jeszcze to – szklana proteza. – Miłka ostrożnie w dwa palce ujęła oprawki. – Prześladowuje mnie myśl, co będzie następne. Implant do ucha, a może endoproteza biodrowa?

– Wata w biustonoszu!

– Dzięki, mężu.

– Do usług. – Rozłożyłem sztucce na stole. – Ale tyle ci powiem: masz okulary, to wyolbrzymiasz.

– Może.

Miłka westchnęła ciężko i zawezwała dzieci na obiad. Hania pogrzebała trochę na talerzu, poskubała liścia sałaty i stwierdziła, że nie jest już głodna. Podejrzewam, że odchudza się dla niejakiego Kuby z IIIc, no ale tak to już jest z nastolatkami. Hania na szczęście i tak na razie tylko czasami daje do wiwatu... Poinformowała nas, że wyjeżdża na wycieczkę klasową do Krakowa dwunastego grudnia i nie będzie jej do niedzieli, siedemnastego.

– O! Tomasz. – Miłka spojrzała trochę zakłopotana. – Możliwe, że ja też wyjadę w tym samym czasie... Ale tylko na półtora dnia.

– Jasne! Ja też wyjadę. – Dokończyłem po Hani resztki dorsza.

– Nie bądź złośliwy! Jest strasznie ważna konferencja w Kopenhadze. To tylko półtora dnia. Bardzo mi zależy... Jakoś byś przeżył. – Miłka wsparła się na dłoni. – O ile w ogóle pojedę... Księgowy kręci nosem, że późno, że bilet do Kopenhagi ponad cztery tysiące i że oni mogą wydać połowę...

– Połowę? To może do Hagi niech ci kupią?

– Podejrzewam, że chodzi o to, że skoro jestem na macierzyńskim, budżet zoo nie przewiduje dla mnie takich konfitur, jak hotel i lot SAS-em do Kopenhagi. Tyle że konferencja odbywa się co trzy lata...

Moja żona uśmiechnęła się lekko i zaraz poszła, bo Tola się przebudziła. A ja zerknąłem na komputer. Trzy czwarte ekranu zajmowało zdjęcie ryżego faceta. Modelowy wiking z kędziorami, połączenie chłopca i zbója o oczach koloru wody morskiej na Cabo da Roca. Mimowolnie zanuciłem: „Naciałeś dziewcząt jak róż w kraju sosny...” i pochyliłem się nad notebookiem, żeby przeczytać podpis pod zdjęciem: Knut A. Solgerstrøm, a potem, prawdopodobnie, seria tytułów naukowych w języku, od którego wargi pierzchną. Poczułem jakąś zadrę w sercu. Bo czyż można ufać Duńczykowi? I jeszcze Knut ma na imię...

– Co to za jeden? – Próbowałem przybrać możliwie najbardziej neutralny ton.

– A, Knut. – Miłka niespokojnie poprawiła oprawki swoich nowych okularów. – Znamy się już ze trzy lata, ale głównie mejlowo. Czasem uzgadniam z nim różne rzeczy przez telefon...

– Uch, ależ męski. Testosteron w żyłach wrze.

Moja żona była uprzejma całkowicie zignorować powyższe spostrzeżenia. Ale ja nie odpuszczałem.

– No i co? Tak sobie pojedziesz do tej Kopenhagi. Spotkacie się. I nic wcale się nie boisz, że kiedy zobaczysz tego wikinga, osmaganą szkwałem twarz, zapętlone kędziory, to zapomnisz o mnie i dzieciach? – Zastawiłem maleńką, perfidną zasadzkę na swoją żonę.

– Mój drogi, w moim wieku to już nie są obawy. To są nadzieje! – odpowiedziała jakby nigdy nic.

Pan Bóg rozum jej chyba odebrał!!!

Kapsułka trzydziesta druga

30 listopada

Pierwszy dzień po urlopie. Zagrzebałem się w papierach. Po niemal czterech godzinach wstałem od biurka, żeby móc odgiąć kręgosłup. Stałem przy oknie. Zauważyłem pielgrzymki białofartuszych osób przecinających nasz szpitalny dziedziniec po przekątnej. Szlak wygląda jak negatyw jakiegoś nowego mrówczego traktu – od zadaszzonego wyjścia obok laboratorium, przez środek podwórza obok kamienicy Wetterów, aż do małej furteczki przy zakładzie utylizacji odpadów medycznych. Muszę się dowiedzieć, co też tam tak wszystkich ciągnie. Miesiąc mnie nie było i wystarczyło, żeby wypaść z obiegu informacyjnego...

Wrzuciłem blister przeterminowanych tabletek do raportu o „Wykorzystaniu osocza bogatopłytkowego w reparacji i regeneracji tkanek”, aby zaznaczyć miejsce, do którego doczytałem, i odłożyłem tę opasłą, medyczną epopeję na później. Postanowiłem zajrzeć do lekarskiego.

Stałem za plecami Patisona. Mój przyjaciel najwyraźniej zarobiony przy epikryzach. Walił w klawiaturę jak młody Ivo Pogorelić w fortepian.

– Co robisz? – zagadnąłem przyjacielsko.

– Leżę na plaży na Riwierze Francuskiej i wcieram w ciało balsam z mlekiem kokosowym – parsknął poirytowany.

– No właśnie widzę. Z tą Riwierą i ciałem coś musi być na rzeczy. – Zza jego ramienia zerknąłem na monitor. – Ale porzuć fantazje i bądź uprzejmy poprawić, o tutaj – wskazałem palcem – „kontrola pożądaney 26-letniej pacjentki” na coś w rodzaju „pożądana kontrola pacjentki”, bo cię jeszcze któraś „pożądana” oskarży, lowelasie wyleniały.

Patison z niedowierzaniem wpatrzył się w monitor. Nie znalazłszy jednak niczego na swoją obronę, bąknął jak niepyszny:

– Masz mi jeszcze coś miłego do powiedzenia?

– No. Jak się obrobisz z tymi papierami, to przyjdź do mnie, do gabinetu. Mam czas do piątej, przed szóstą muszę być w Medicusie.

– Przyjdę za dziesięć minut. – Nawet na mnie nie podniósł wzroku.



– Zimno tu u ciebie. – Wzdrygnął się Patison. – Kaloryfer masz chyba

zapowietrzony? – Uderzył obrączką w stare, żeliwne żeberko.

– O Jezu... – jęknąłem bezsilnie. – Z niczym sobie już nie radzę. Do roboty lecę jak do porodu, w domu ledwo ciągnę, chodzę niewyspany jak zombie i właśnie mi przypomniałeś, że mamusia z tydzień temu prosiła mnie, żebym sprawdził zawory u niej w kuchni i łazience. Znowu nawaliłem.

– Oj, przestań. Masz miesięczne niemowlę w domu, tak?! Twoja mamusia – wyczułem nutę przekąsu w głosie przyjaciela – mogłaby przestać histeryzować w sprawie zaworów... Są hydraulicy, jakaś administracja u niej na Zawisłnej. Co, może starszej pani odmówią sprawdzenia zaworów?

– No niby masz rację. Ale oprócz zaworów chodzi też trochę o to, że powinienem zawrzeć z nią coś na kształt pokoju lub przynajmniej paktu o nieagresji. Chorowała dość poważnie ostatnio. – Nastawiłem czajnik.

– Jasne. Stare sztuczki.

– No może... Zapewne tak. – Wyjąłem ze swojej szafki kartonik po earl greyu, w którym niestety został jedynie aromat bergamotki. – I po herbacie! – Pokazałem Patisonowi puste opakowanie.

– Czekaj... Pani Aniela zawsze w szafce pod parapetem trzymała zapasy. – Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, Patison w najlepsze już grzebał na półkach. Trzeba przyznać, skutecznie. Wynałazł starego roiboosa i jakieś dwie puszki. W mniejszej, na dnie, było w sam raz tyle herbaty, ile potrzebowaliśmy. – Cholera, bez pani Anieli nie będzie miał kto zadbać o kawę i herbatę.

– Jak to bez pani Anieli? Dzień wolnego sobie chyba wzięła.

– Eee, ty nic nie wiesz, kolesiu. Wzięła sobie wolne od naszej kliniki! Nie zauważyłeś, że zniknęły jej rzeczy osobiste? Ta stara, chuda pularda – Patison kiwnął głową w stronę gabinetu Strusiowej – ją wygryzła. Nie dała rady wysadzić z siodła nikogo ważniejszego, to czepiła się najlepszej sekretarki, która kiedykolwiek tu pracowała.

– O jassna cholera. – Ręce mi opadły. – Niedobrze! Lubiłem Anielę. Poza tym ona ma pięćdziesiąt sześć czy siedem lat. Kto ją teraz zatrudni?

– O to akurat się nie martw. Jak ktoś jest dobry, wszyscy wiedzą... Klinika Hematologii wzięła ją z otwartymi rękami. Tam akurat jakaś nowa laska poszła na macierzyński.

– Muszę pogadać z Łatką. – Zalałem listki wrzątkiem. – Może szybko przyjmie kogoś kumatego. Najlepiej by było, żeby jakiś absolwent niderlandystyki... – rozmarzyłem się. – Miałbym przynajmniej wsparcie w rozmowach z Holendrami. – Patison nadal bez skrępowania plądrował wszystkie możliwe szafki i szuflady. – Co tak grzebiesz zapamiętałe? Zostaw lepiej. Tam Strusiowa odkłada czasem swoje papiery. Później będzie na mnie.

– Wiedziałem! Mam! Jest CV. Widziałem tutaj któregoś dnia tę panienkę. – Patison wczytał się w wygnieciony arkusz. – Zaraz się dowiemy, jakie języki... Po

kolei: Aldona Treńska, rok urodzenia 1992, adres e-mailowy: turbo.girl@wp.pl. – Patison łyknął ślepiem. – Technikum Poligraficzne im. Curie-Skłodowskiej w Pleszewie, potem Wyższa Szkoła Zarządzania, Wizażu i Kosmetologii w Koninie, praktyki na stanowisku: hostessa w sieci perfumeryjnej Sephora.

– Już mi nie czytaj – jęknąłem głucho.

– Czekaj. Jeszcze tylko to: w zeszłym sezonie nasza Aldonka została twarzą ubojni Drobotex w Skarży Niskiej. – Patison głośno zaczerpnął powietrza. – To chyba z takim doświadczeniem mogłaby się przydać w prosektorium...

– Ale wiesz, mnie nie jest do śmiechu. Będzie siedziała za tą ścianą.

Mój przyjaciel poskubał brodę, siorbnął herbaty i z wiarą w siłę i czystość swojego głosu zaczął nucić: „Jakże ściana ta cienka, za nią miła panienka położyła się pewno już spać...”.

– Zna holenderski? – zażartowałem.

Patison, jakby nie dosłyszał pytania, nadal nucił swój szlagier. „Musnę młotką obuszkiem... Przeleciał, psia mać”.

– Kiedy mowa o dowolnej panience, nie umiesz się wysłowić bez użycia słowa „przeleciał”, co? – Patison puścił mimo uszu moje błyskotliwe spostrzeżenia lingwistyczne i nadal uprawiał swoje murmurando na melodię: „Jakże ściana ta cienka”. Chcąc dotrzeć do meritum, przestałem mu dokuczać i zagadnąłem pojednawczo: – Niemiecki?

Pokręcił głową.

– Francuski? Angielski? – drażyłem.

Pokręcił głową. Nadal mruczał.

Nagle przestał. Pieśń zamarła mu na ustach. Skrzywił się i spoważniał. Lekceważącym ruchem rzucił dwie złożone na pół stronice do szuflady.

– Nie zna angielskiego. Nawet podstaw.

– A jaki zna? – spytałem posępnie i raczej retorycznie. Nie spodziewając się znikąd odpowiedzi, rzekłem do siebie: – Może polski zna? Nie powinienem się czepiać. Polski to jeden z siedmiu najtrudniejszych języków świata. To co? Jaki zna? – Odwróciłem się do kolegi. – Starokoptyjski?

– To jest, Termos, źle postawione pytanie. W tym kraju prawidłowo postawione pytanie brzmi: KOGO ONA ZNA? I jak Strusiowa zdołała to przepchnąć, żeby zatrudnić na stanowisku sekretarki medycznej miss Konina...

Smętnie pokiwałem głową.

– Ten kraj musi upaść! – Rozsierdzony Patison domknął biurko z takim impetem, że omal się rozpadło.

Kapsułka trzydziesta trzecia

12 grudnia

Obaj z Antosiem odwieźliśmy Hanię na Dworzec Centralny. Odjeżdżała wraz z całą swoją gimnazjalną klasą do Krakowa o szóstej pięćdziesiąt. Pendolino wywołało potężne wrażenie na moim synku. Oniemiały z zachwyty chciał obejrzeć każdy szczegół. Najpierw z zewnątrz, a ponieważ akurat wytropiliśmy specja, który sprawdzał przeguby, podążyliśmy śladem owego człowieka. Był to młody, ale chorobliwie otyły, zasapany mężczyzna. „Maszynista pełną parą sapie”, pomyślałem Przybosiem. Ale niestety lub też może – na szczęście – to już chyba jedyny rodzaj sapania, który da się usłyszeć na Centralnym w Warszawie, w postnowoczesnym świecie...

Kiedy tylko zrobi się cieplej, muszę zabrać dzieciaka na męską wyprawę. Tylko ja i on. Zresztą obojgu, i Hani, i Antosowi, musimy zrekompensować chwilową koncentrację na Tosi. Antoś chętnie zostałby w pociągu dłużej, ale widziałem, że Hania w towarzystwie swoich koleżanek i krążącego gdzieś w pobliżu Kuby nie czuje się najlepiej w otoczeniu rodziny.



Zostawiłem Młodego na świetlicy i pognałem do roboty. Na klatce schodowej, obok wind, wpadłem na Łucję. Pocałowała mnie w policzek.

– Co robimy w tym roku w sylwestra? – spytała zwyczajnie.

Uświadomiłem sobie, że przecież od paru lat umawialiśmy się w kilka osób w jakimś mniej lub bardziej okołosylwestrowym terminie na wspólne chlanie uśmierające. Rytualne gorzkie żale nad wywietrzałą młodością. A teraz, samo słowo „sylwester” brzmi jak wyjęte z języka obcego.

– Eee... – wydałem z siebie niespecjalnie inteligentny dźwięk.

– O sylwestra, Termos, pytałam. – Łucja zamachała mi ręką przed oczami. – Kojarzysz coś? Nowy Rok, północ, szampan, bąbelki... Stara gwardia...

Istotnie, przypomniało mi się stare życie.

– Tak, coś pamiętam... A nawet w tym roku to ja zorganizuję... Nazbiera się parę okazji, które trzeba oblać: dwudziestego dziewiątego grudnia będę miał imieniny, a trzydziestego obronę habilitacji. Zaplanuję jakiś termin i będziesz pierwszą osobą, która się dowie...

W tej sekundzie, wykazawszy się rewolucyjną czujnością, zadzwoniła Miłka.

Musiałem solennie ją zapewnić, że Hania odprawiona do Krakowa, Antoś na świetlicę, że dom stoi jak stał i niczego nie spaliłem (no może jakiś dowcip jedynie) i nawet nie dotykałem piekarnika. Oraz że opiekunka stawiała się o czasie. Że Tola wessała do swojego wnętrza 125 ml. Że zasypka, że oliwka, że witamina E. Oraz że wszystko właściwie zapamiętałem, że kwiatki – mokro, dziecko – sucho. Odwrotnie? O Jezu i Święci Młodziankowie!

Przyjechała winda.

Ściągnęło nas na dół, do laboratorium.

Dołączyła do nas siostra Basia, która zaraz mimo słabego światła dostrzegła i natychmiast skomplementowała odcień włosów Łucji.

– Wczoraj położyłam sobie nową farbę. Siena palona. – Koleżanka urolożka zmysłowo przeczesała palcami pasmo włosów.

– Co? Napalona? Co?

– No ty się dziś dorobisz!!!

Popatrzyła stężonym wzrokiem.

I dalibóg, tym razem nie mogłem się zorientować, co źle powiedziałem. A na pewno coś, skoro siostra Basia zabawnie zmarszczyła czoło.

– Ale i tak cię lubię. – Winda zatrzymała się na drugim piętrze. – Przełyk o piętnastej?

– Tak, oczywiście. – Metalowe drzwi cichutko zamknęły się za Łucją. – Ale co to jest przełyk?

Zerknąłem na siostrę Basię.

– No jak to? Pani Dziunia w zeszłym miesiącu otworzyła coś w rodzaju nielegalnego baru.

– Pani Dziunia? – Zastrzygłem uszami. – Czy to ta, co kiedyś...

– Ta sama. Skrzyknęły się we cztery, wynajęły lokal na parterze tuż obok naszego dziedzińca, przy tej małej furtce obok utylizacji...

– A, wiem... Ode mnie z okna widać. To dlatego tyle ludzi tam łązi!

– Najlepsza garkuchnia w okolicy! Musi pan zobaczyć, doktorze. Pyszne, proste jedzenie. No cała pani Dziunia po prostu. Ceny dla ludzi. I ten klimat... Wąskie, długie pomieszczenie... Nazwę podobno wymyślił psychiatra.

– Już mi się podoba! Niech żyje podziemie kulinarne!

Kapsułka trzydziesta czwarta

26 grudnia

Pół godziny przed mszą zjawiliśmy się w zakrystii, żeby dopełnić formalności. Ksiądz dziekan w parafii pod wezwaniem świętego Marcina starannym pismem wpisał do ksiąg parafialnych nasze dane. Nawet Patison, w roli ojca chrzestnego, rozczulił się jakoś na widok kaligrafowanych liter. Wyciągnął swojego smartfona i uzyskawszy księżowskie pozwolenie, obfotografował stosowne wpisy. Ja zaś uregulowałem należności w systemie „co łaska” i poszliśmy do kościoła.

Główny celebrans, w wieku nieokreślonym, dokonał znanego cudu: podczas długiego kazania kilkakrotnie zamieniał wino w wodę i ze sporą determinacją szukał tematu swojej homilii.

Nagle jakoś się zaciął, rozejrzał po wiernych i znalazł – jak sądzę – inspirację. Zauważywszy większą, bo świąteczną, frekwencję, zakończył swoją mowę groźnie, wręcz jezuicko:

– Bo wy to tylko do kościoła przychodzicie, jak was nieszczęście dopada: pogrzeb, ślub albo inne tragedie.

Patison był bliski parsknięcia śmiechem, ale szczęśliwie Agnieszka, czujna matka chrzestna Toli, w porę szturchnęła go łokciem i mój przyjaciel jakoś zachował należną okolicznościom powagę.

Nasza córka Antonina Helena zignorowała podniosłość chwili i przespała calusieńką mszę na moich kolanach. A my, dorośli, tak jak przystało chrześcijanom, wyrzekliśmy się szatana, złożyliśmy stosowne obietnice i dziecię obmyte z grzechu pierwotnego przywieźliśmy na Saską Kępę, aby uroczystość wybrzmiała świątecznym obiadem.



Podobno nie istnieje kuchnia tak obszerna, żeby mogły się w niej zmieścić dwie kobiety. A trzy?! Mój Boże... Armagedon na raty, przy zaciśniętych szczękach i fałszywych uśmiechach. Było tak: już przed kościołem zauważyłem, że mamusia markotna jakaś. Nie bardzo wiedziałem, czy biedaczka słabuje, czy przypisać tę posępność ogólnej nieakceptacji wydarzeń... Już w domu, na Saskiej Kępie, wysłałem panią Szroniewską seniorkę do kuchni, aby miała szansę zintegrować się z pozostałymi kobietami. Daremnie się trudziłem. Przy nalewaniu

zupy gulaszowej z wielkiej wazy do miseczek mamusia starła się w bratobójczej walce z teściową na temat ilości i sposobu podania śmietany, którą należy zabielić daną zupę. Obie panie użyły metody szczękościsku, aby jakoś zapanować nad emocjami, i na chwilę udało nam się jeszcze zachować pozory kochającej się rodziny.

I wówczas ze swojego pokoju na piętrze wypadł Antoś uzbrojony w świetlisty miecz.

– Chodź na obiad. Mieczem później się pobawisz – przywołałem dzieciaka.

– Dobra, dobra!!! Tylko zapanuję nad światem i idę! – odkrzyknął młody z półpiętra.

Po tych słowach zatęskniłem do lat chłopięcych. Świetlisty miecz w dłoniach wystarczył Antosiewi, żeby uwierzyć w możliwość uporządkowania świata. Ja chyba nawet ze skalpelem w ręce nie byłbym w stanie zapanować nad mamusią i teściową. W każdym razie nie obyłoby się bez pomocy anestezjologa.

Dzieciak w końcu grzecznie odstawił zabawkę i jako ułożony młodzieniec miał zamiar dołączyć do stołu. I w tym momencie Bronisława dostrzegła bose stopy Antosia. A młody, jakby powstrzymany niewidoczną kurtyną, zatrzymał się tam, gdzie stał.

– Powinien założyć skarpetki! – Przygana w głosie uniosła się ponad parującą zupą.

– Nonsens! – odparła mamusia. – Tu nie jest zimno. Jak się dzieciak zahartuje, to mu tylko wyjdzie na dobre.

– Żartujesz chyba, Heleno! On stoi gołymi stopami na płytkach! – zaperzyła się Bronia. – Chcesz, żeby zapalenia płuc dostał?! To nigdy nic nie wiadomo.

– „Nigdy nic nie wiadomo” to ogólnie słusznie uwaga, ale płytka – odgryzła się mamusia.

Jednak mimo wszystko jestem jej nieodrodnym synem.

Broni wyszły na szyi czerwone nieregularne plamy. Niezawodnie zaburzenia czynnościowe. Na nieskończenie długich dwadzieścia sekund cisza jak beton zaległa w salonie przy ulicy Kopenhaskiej. Wszyscy wbili we mnie wzrok i normalnie jak w tragedii greckiej: co nie powiem, będzie źle. A w gruncie rzeczy nie chciało mi się nawet kiwnąć palcem, aby towarzysko ratować sytuację. W zasadzie nie miałbym nawet nic przeciwko temu, żeby stateczne damy urządziły pokaz specjalny. Niech łapią się za słowa i łby. Niech jedna drugiej przegryzie aortę.

Baby zawzięte. Ksantypy przebrzydłe.

Patison pośpiesznie przełknął spieczoną skórkę razowego chleba (wczorajszy wypiek Miłki), zahaczył wzrokiem o siedzącą vis-à-vis moją żonę i spostrzegłszy na jej twarzy nerwowe wypieki (*en ce moment*), poczuł się w obowiązku rozproszyć skisłą atmosferę.

– Blondynka poszła do apteki po test ciąży. Farmaceutka zapytała jaki.
A blondynka: „Negatywny, jeśli można...”.

Nikt się nawet nie uśmiechnął.



Odwiozłem mamusię. O dziwo, brama wjazdowa na mamusine podwórko działała bez zarzutu. Tuż obok śmietnika chwiał się Miecio, niezawodny element krajobrazu, nawet wieczorem przy trzech stopniach na minusie. Wytwornie uklonił się mamusi. Nie zarejestrowała. Odniosłem wrażenie, że mamusia patrzy Holoubkiem, nieobecnie, w głąb siebie.

– Miecio się uklonił. Nie zauważyłaś. – Zerknąłem kontrolnie. – Tak cię wyczerpała dzisiejsza uroczystość?

– Nie... Dlaczego? – wyparła się mamusia.

– Musisz pogodzić się...

– Przestań! Czasem jesteś nieznośny. Nie cały świat kręci się wokół ciebie, Tomaszku.

Mamusia oparła się o poręcz na klatce schodowej, żeby poszukać kluczy do mieszkania. Znalazła. A potem odwróciła wzrok.

– Myślałem, że cały... cały twój...

– Mam pewien kłopot, o którym chciałam ci powiedzieć... Jerzyk się ostatnio nie odzywa...

– No i chwała ci, Panie! – huknąłem, aż echo poniosło mój głos pod sklepienie.

– On jakiś czas temu, na wiosnę, wszedł w pewne interesy z takim jednym Chorwatem. Gaspar miał, zdaje się, na imię. – Pomogłem mamusi zdjąć płaszcz. – To bardzo zdolny i przedsiębiorczy chłopiec.

– Który? Ten Gaspar?

– Nie wiem. Gaspara na oczy nie widziałam. O Jerzyku mówię, że obrotny taki, z Chorwatem się dogadał w try miga... Mieli produkować niestandardowe profile okienne. Może nawet zaczęli. Mniejsza o to. Jerzyk potrzebował gotówki na rozruch. Pożyczyłam mu te swoje pieniądze, co wiesz... Com je na czarną godzinę... Ponad dwadzieścia tysięcy...

– Wyjęłaś pie-nią-dze z fun-du-szu in-we-sty-cyj-ne-go na szemrane interesy Jerzyka????!!! – Palnąłem się w czoło otwartą dłońią i zatoczyłem na pięcie w geście bezsilności.

Następnie zrobiłem kilka rund wokół stołu na chwałę mamusinej naiwności, a Jerzykowego kanciarstwa.

– Od kiedy nie masz z nim kontaktu?

– Tak od dwóch miesięcy. Najpierw był ciągle zajęty i nie miał czasu rozmawiać. Potem wcale nie odbierał telefonów ode mnie. A teraz to już nie wiem... Chyba zmienił numer. – Mamusia głośno zaczerpnęła powietrza. – Dzwoniłam do Marysi Zemły. Pamiętasz ją chyba, co? Znaczy do matki Jerzyka. Ona też nic nie wie albo nie chce powiedzieć. Wspominała tylko, że może do tej Chorwacji wyjechał albo gdzieś. Marysia na dniach powinna dostać dopłatę unijną do swojej gospodarki. Obiecała, że spłaci w ratach Jerzykowe długi. Bo ja wam chciałam chociaż tyle, co mam, znaczy, co miałam, do mieszkania dołożyć.

– Nie pozostaje ci chyba nic innego, jak tylko iść na policję i określić standardowy profil przestępcy, prawda?

Mamusia spojrzała trwożnie i odwróciła się do okna. Odniosłem silne wrażenie, że popłakuje. Stałem za nią i wiedziałem, że choć jej wstyd przyznać przede mną, a może i przed samą sobą, płacze bardziej z powodu zawiedzionej dumy niż z powodu straty pieniędzy. Kiepski zwrot z inwestycji. Emocjonalnej.

Odwróciła się raptownie i zwyczajnym, lekko protekcyjnym tonem, przyprawionym szczyptą zniecierpliwienia wypaliła:

– Znowu byś zapomniał. Zawory! W kuchni i łazience. Zeszło ci chyba z miesiąc, zanim się zdobyłeś...

Oho! Bezsprzecznie mamusia wraca do dobrej formy.

– Bo jak może zauważyłaś: dziecko mi się urodziło, *chère grand-mère*. Poniedziałek mam wolny. Wymienię ci te zawory. Obiecuję.



Zerwał się mroźny wiatr. Podniosłem kołnierz i wybrałem numer 698 012 099 do Jerzyka. Po trzech sygnałach kobiecy głos poinformował mnie, iż: „The number you’re trying to reach is currently not available”. Szedłem do samochodu pełen sprzecznych myśli. Sam nie wiedziałem, czy bardziej irytuje mnie niziutki szalbierczyk, który orznął mamusię, jej niczym nieuzasadniona ufność wobec niego, czy fakt, że oszczędności życiowe kobiety, która przepracowała w swoim życiu czterdzieści dwa lata, sięgnęły dwudziestu tysięcy...

Prestidigitator z za Zwolenia, jasna cholera!

Kapsułka trzydziesta piąta

28 grudnia

Pamiętam, że na Woli, w okolicach Okopowej i Żytniej, była hurtownia z rurami i hydraulicznym asortymentem, ale prowadzili też sprzedaż detaliczną. Chciałem sprawdzić w internecie, czy firma jeszcze istnieje oraz kiedy jest otwarta. Długo nic nie mogłem znaleźć. W końcu odnalazłem sklep skrzętnie ukryty pod nazwą SALON GRZEJNIKÓW I INSTALACJI.

Zacząłem się zastanawiać, co wstydliwego jest w poczciwych słowach: sklep, piekarnia, handel, usługi, że nagle zaczęliśmy ich sromotnie unikać. I najdrobniejszy nawet biznes przysłania się fasadą luksusów. Nagle zaczęły bywać na salonach...

Pojechałem, zaparkowałem pod ATELIER odzieży z Zachodu. W SALONIE grzejników zwiedziłem EKSPOZYCJĘ zaworów i głowic termostatycznych. Kupiłem, mam nadzieję, odpowiedni sprzęt i wrzuciłem do bagażnika swojej używanej LIMUZYNY. A że kieszki grały mi marsza, przeszedłem na drugą stronę ulicy do GALERII WYPIEKÓW. Trafiłem na WERNISAŻ czerstwych jagodzianek (wczorajsze, przecenione na 1,10 zł), wziąłem osiem. Pomyślałem, że jak wrócę do naszej REZYDENCJI, to wszyscy chętnie zjemy. Przy okazji kupiłem też żytni chleb SUPERIOR z kolekcji „mood for food” i wziąłem tartą bułkę z LIMITOWANEJ serii Luxury Bakery Trash. Skoro już zacząłem robić zakupy, to skoczyłem jeszcze na Leszno. Zaraz za skwerem Odbudowy Polski jest bazar. Zadzwoniłem do Miłki. Kazała mi kupić kartofle, sałatę i świeży sok z marchwi. W rzędzie bazarowych budek, krytych blachą falistą, zobaczyłem napis LABORATORIUM zdrowej żywności.

No to się obkupię.



Dotarłem z siatami w sam raz na kolację. A dokładniej zastałem teściową w trakcie napychania Antosia knedlami na słodko. Cała akcja przypominała tuczenie gęsi i miałem wrażenie, że młodemu już się przelewa.

– O dobrze, że jesteś! – Bronia powitała mnie entuzjastycznie. – Zaraz dołożę knedelków, podgrzeję, to sobie...

– Nie trudź się, życie już mi dołożyło. Wielokrotnie.

– A co ty tam... Siadaj. – I do Antosia: – Jedz ostrożnie, bo gorące. –

Posłuchaj mnie teraz, tatuś dzwonił. – Bronia złowiła moje zdziwione spojrzenie. – No o Zdzisiu mówię, przecież, tak? Grypa mu już przeszła. I myśleć zaczął. A Zdzisio ma łeb! I jak czasami coś powie... Bo posłuchaj. – Bronia spojrzała mi głęboko w oczy, aż się odsunąłem. – Gdybyśmy tak sprzedali swoje mieszkanie w Wałbrzychu i wasze dwa małe mieszkania, moglibyśmy razem zamieszkać tu w Warszawie. Wam byłoby lżej, a i my na starość...

Nogi się pode mną ugięły i doznałem wizji. Wizji wielopokoleniowego domu, gdzie miłość, pokój i wzajemna życzliwość... Gdzie zapach drożdżowego ciasta. Babunia ceruje. Dziadunio fajeczkę pyk, pyk (a charty do stóp mu się ścielą), pacholeta niewinnie igrają, dziecina kwili, tatuńcio na waltorni pieśni patriotyczne wygrywa, a stryjasek z dubeltówki! Śmichy, chichy, gwar, zabawa...

Zagryźlibyśmy się po tygodniu!

Bronia skonsternowana moim przydługawym milczeniem rzuciła się na biedne dziecko, Antosia.

– Jedz szybciej, bo ci wystygnie.

– Przestań! Przed chwilą doradzałaś mi, żeby jadł wolno.

– No wolno, żeby dobrze pogryzł, mówiłam. – Bronia zawczasu przybrała ton ofensywny. – A teraz mówię, że szybko, bo mu stygną. Jak całkiem wystygną, to mu w żołądku osurowieją.

Poczułem, że mój zapał do utrzymania stosunków rodzinnych na poziomie jako takiej poprawności właśnie gwałtownie wystygł.

– Zostaw nas samych, proszę – poprosiłem lodowato.

Teściowa zerwała z siebie płócienny fartuch z nazwą preparatu na refluks (gadżet promocyjny ze szpitala, naturalnie).

– Już dawno by mnie tu nie było, gdyby nie twoje imieniny. Prezent ci chciałam zrobić i... zostałam dłużej. Może kiedyś docenisz, jak mnie zabraknie... Będzie za późno. – Uniosła palec, aby podkreślić doniosłość swoich słów. – Gdzie ty byś w ogóle znalazł drugą taką teściową jak ja!

– Drugiej takiej bym nie szukał. Pierwszej w zasadzie też nie szukałem – zeznałem prawdę.

– Jutro wyjeżdżam!

Złożywszy tę – wszelako dobrze przyjętą – obietnicę matka mojej żony ostentacyjnie opuściła kuchnię. Temat wspólnego zamieszkania uznałem za czasowo wyczerpany... Zawieszenie Broni, innymi słowy.

Kapsułka trzydziesta szósta

4 stycznia

Przyniosłem ze skrzynki zapakowany w folię „Medical Journal” ociążony od rozmaitych reklam bóg wie czego. Zacząłem dwudzieste ósme okrażenie po salonie w celu uśpienia Tosi, a Miłka zagryzła w zębach rogała i zaczęła przerzucać owe kolorowe papierki z „journala” jako obrazkową, niewyszukaną rozrywkę przemęczonej matki. Na ulotce „SPA dla dwóch osób” przeczytała na głos:

– Odchudzanie bioder i pogrubianie rzęs. Albo odchudzanie rzęs i pogrubianie bioder 389 złotych za dobę...

– To wSPANiale – mruknałem i z sukcesem odłożyłem Tosię do kołyski (ja to dopiero potrafię ją usypiać).

Zreflektowałem się, że może jednak moja żona chciała mi coś powiedzieć, może wbrew tym żartom chciałyby gdzieś wyrwać się sama...

– Chciałybyś?

Zerknąłem na żonę badawczo.

– Z oferty SPA najbardziej interesuje mnie SPAnie. – Na jednej ze sztywnych ulotek postawiła kubek z kawą. – A jeszcze chyba bardziej kąć do SPAnia. Najchętniej własny. Widziałeś to? – Miłka wyciągnęła spośród reklamowych śmieci tłoczony papier ze zdjęciem kilkurodzinnej willi, na obrzeżach lasu Młocińskiego, stylizowanej na Bauhaus. Podniosła papier pod światło, żeby obejrzeć znak wodny i przeczytała: – „VillaNuova to propozycja dedykowana osobom, których potrzeby znacznie wykraczają poza standardowe pojęcie luksusu”.

Moje gałki oczne znacznie wykroczyły z orbit.

Swoje całkiem standardowe poczucie luksusu podwyższyłem, upiwszy łyk kawy z Miłkowego kubka.

– A popatrz na to! – Zerknąłem na kartonik z odbitym na nim okrągłym, kawowym śladem. – Osiedle Port Praski. Inwestycja „pod klucz” w IV kwartale. Całkiem niezła architektura. Ładne, duże okna, spore balkony. Chyba nawet wiem, gdzie to jest.

Miłka ze skupioną miną przestudiowała ofertę.

– Biuro mają dziś czynne do piętnastej. Pakuj młodą do wózka. Idziemy!!!



Po czterdziestu minutach żwawego marszu byliśmy prawie u celu. Ale widziałem, że Miłkę jakoś nadto zmęczyła ta przebieżka. Humor jej siadł i zaczęła narzekać na okolicę. Że błoto, że nieładnie, że teren nie najlepiej skomunikowany, że nie wiadomo, czy bezpiecznie... Czułem się lekko dezorientowany, bo zdawało mi się godzinę temu, że Miłka sama chciała przejść się na ten spacer. W inne miejsca sam jeżdżę, żeby jej nie ciągać z bobasem. I przecież nie idziemy podpisywać aktu notarialnego, tylko zaledwie na wstępny rekonesans. Postanowiłem skoki hormonalne mojej żony pokonać niewzruszonym spokojem i obrócić wszystko w żart.

– Wzięłeś zapasowy smoczek? – W głosie żony wyczułem zaczepną nutę.

– E, nie! Nie mogłem znaleźć.

Skłamałem, bo tak naprawdę zapomniałem. A Miłka ma obsesję na punkcie wyposażenia dla Toli, które absolutnie koniecznie musimy mieć ze sobą na spacerze.

– Ty nic nie umiesz znaleźć – westchnęła głęboko.

– No... nawet dobrej żony nie umiałem znaleźć – odgryzłem się, ale z uśmiechem.

– O Boże! Co ja z tobą mam...

– Dziecko! Masz ze mną dziecko – doprecyzowałem. – I spróbuj się uspokoić...

Rzeczony dziecko bezsprzecznie odebrało wibracje, bo na chwilę otworzyło oczka i pokręciło głową, jakby z niedowierzaniem, że rodzice prowadzą takie banalne, małżeńskie potyczki. Po chwili znowu zapadło w sen, aby śnić swoje niemowlęce sny.

– Przecież jestem spokojna! Wmawiasz mi histerię, tak? Uważasz, że z inną kobietą byłoby spokojniej?

– Nie, chciałbym cię jakoś wyciszyć. Po prostu.

– Nie interesuje cię, co mam do powiedzenia. – Miłka wydmuchała nos.

– E, nie. To znaczy tak. Właściwie to... nie wiem. To jest wiem, że próbujesz się ze mną kłócić, a ja nie bardzo chwytam, gdzie leży przedmiot sporu.

– Oboje pomilczeliśmy chwilę. – Wybacz, ale czasem dla mężczyzny tak silne doświadczenie pierwiastka kobiety jest nieco dezorientujące.

– Bo ty wolisz męskie kobiety. Prawda?

– Wolę mięsne kotlety. Prawda.

– Wiedziałam, że kiedyś sprawa wegetarianizmu nas poróżni.

Panie, wybacz jej, bo nie wie, co mówi!

Zrozumiałem, że trzeba zamknąć usta. I powinienem był zrobić to o wiele wcześniej. Nawet Kubuś Puchatek znał tę prostą prawdę, iż „im bardziej pada śnieg, tym bardziej pada śnieg...”.

Na szczęście dotarliśmy do bramy osiedla Port Praski.



Z okna pokazowego mieszkania na piątym piętrze roztaczał się widok dwojaki: w dalszej perspektywie rozległy i ładny, na lewobrzeżną Warszawę, w bliższej niestety trochę gorszy – na zaniedbany port i budowę jakiegoś pawilonu o cudacznym wyglądzie. Architekt chciał pewno narysować coś w rodzaju miniatury muzeum Guggenheima w Bilbao, a wyszło jajko sadzone na dnie oceanu. Boże Wielki, gdzież setki lat historii architektury, złote proporcje, szacunek dla tradycji i spójność z krajobrazem... Aż żal patrzeć.

Bogusław, starszy pan o łzawym spojrzeniu, zresztą wyraźnie niepasujący do pełnionej przez siebie funkcji „reprezentant dewelopera”, pochwycił moje spojrzenie.

– Tak, nas też nie bardzo cieszy ta inwestycja vis-à-vis naszego bloku. Tam będą sklepy, a na niższych piętrach ta szalona bryła przesłania, niestety, drugi brzeg.

Pierwszy raz chyba poczułem coś w rodzaju sympatii do osoby reprezentującej dewelopera. Blok nazwał blokiem, zamiast jak wszyscy inni – apartamentowcem, sklep nazwał sklepem.

– Jestem lekarzem – odrzekłem, a pan Bogusław podniósł na mnie nieco zdziwione spojrzenie. – Lloyd Wright zauważył kiedyś, że nasze, lekarskie błędy ukrywa się... pod ziemią. Błędy architektów można jedynie obsadzić gęstym bluszczem.

– Dobrze powiedziane! – W zmęczonych oczach starszego pana mignął cień uśmiechu.

W najmniejszej sypialni, zaadaptowanej na biuro, zaszemrała drukarka. Przed chwilą weszła tam kobieta w wieku nieokreślonym. Śledziłem jej ruchy, zdawała mi się niebrzydka, tylko nadmiernie pobudzona, poruszała się z irytującą skocznością. Coś na kształt fraglesa w opiętej garsonce z wzorami pantery. Zebrała wypłute przez maszynę papiery, spięła je zszywką i włożyła do teczki z tłoczonym napisem „Osiedle Port Praski”.

– Pomyślcie państwo o naszym osiedlu. To naprawdę niezła oferta. Polecam zwłaszcza wyższe piętra! – Mężczyzna wręczył Miłce teczkę z informacjami deweloperskimi. – W środku są wszystkie szczegóły. W sprawie kredytów hipotecznych współpracujemy z Amigo Bankiem.

– Dziękujemy!

– Ach! Zapomniałbym. – Pan Bogusław podniósł rękę jak karny uczeń. – Biały montaż jest w cenie.

Skoczna Pantera była już w progu z drugim kompletem dokumentów dla

innych klientów, ale odwróciła się do nas i zaszczyliła nas informacją:

- To najlepsze wykończenie, jakie znajdą państwo na rynku!
 - Mówi pani jeszcze o mieszkaniu czy już o sytuacji klienta? – wypaliłem.
- Starszy pan udalnie zapanował nad mimiką.
A ja poczułem pod żebrem Miłkowe szturchnięcie.



Dopiero późnym wieczorem, w łóżku, wyciągnąłem od Miłki rzeczywisty powód jej zdenerwowania. Otóż moja najlepsza z żon, w miarę jak zbliżaliśmy się do Portu Praskiego, uświadamiała sobie, że oglądane dziś mieszkanie znajduje się niebezpiecznie blisko Zawisłnej, i nabrała obaw, że będę w kapciach chodził do mamusi lub też ona do nas. Faktycznie, ze szczytowego okna widać było nawet jedną wieżę od świętego Floriana. Nieźle się przestraszyła biedaczka takiej perspektywy. A z babami tak zawsze! Syndrom łyżki. My jesteśmy gotowi je łyżkami jeść, a one jedna drugą w łyżce wody by...

Choć trzeba przyznać, że Miłka ma ważne argumenty. Opowiedziała mi, że w Szwecji do końca XVI wieku obowiązywało prawo kominowe. Polegało ono na tym, że dorosłe dzieci musiały osiedlać się na tyle daleko od ojca i matki, żeby z ich nowych domostw nie było widać dymu z rodzicielskiej chaty. Była w tym pierwotna i głęboka mądrość.

– Nie wiedziałem, że znasz takie nordyckie ciekawostki. – Połaskotałem Miłkę w stopę, bo rzeczywiście zaimponowała mi wiedzą o Skandynawii.

– A nic takiego – wyświszczała rozbawiona Miłka. – Knut Solgerstrøm na kolacji opowiadał... Jego ojciec jest rodowitym Duńczykiem, ale matka pochodzi ze Szwecji.

– I cóż, że ze Szwecji – odpowiedziałem, żeby słowa, wszystko jedno jakie, zamarkowały dalszy ciąg dialogu.

Bo, cholera, zdawało mi się, że oni tam, w Kopenhadze, na konferencji, byli pochłonięci wyłącznie pracą. A tymczasem okazuje się, że kolega Knut snuł jakieś dziwne historie.

Chyba, kurde, typa nie lubię!

Kapsułka trzydziesta siódma

15 stycznia

Włączyłem dźwięk w telefonie. Nie odebrałem dwóch połączeń od Patisona. Oddzwoniłem z samochodu.

– Ty, uczony, habilitowany, spóźniasz się na własną imprezę! – W głosie Patisona wyczułem już dwie lampki wina. – Ani mnie, ani Władziowi nic nie przeszkadza, że cię nie ma, ale wiedz, że pijemy na twój koszt!

– Nie zapłacę za was ani grosza, moczymordy niewyżyte. Oglądałem właśnie mieszkanie na Sadach Żoliborskich. Zeszło mi dłużej, niż myślałem, i wiesz co? Ja je chyba kupię! Jak dojadę, to wam opowiem.

– No to grzej, kochany, grzej, bo kobiety się schodzą. Sam nie dam rady.

– Ty nie dasz rady?! To któż miałby...

– Nie mądrzyj się, tylko dawaj, bo ci przepijemy to mieszkanie!

– Jadę!



Przyszedłem zziębnięty do Pixel Clubu tuż przed ósmą, spóźniony niemal godzinę. Przed drzwiami spotkałem Łucję i Rafała. Oboje zaciągali się dymem z cienkich mentolowych papierosów oraz sobą nawzajem. Łucja wrzuciła niedopałek do kosza i weszła do środka razem ze mną.

– Który obowiązuje w tym sezonie? Ten krasnolicy – skinałem głową w stronę wejścia – czy Władzio Drewnowski?

– Władzio ma żonę, a Rafał jednak płęć nie do końca przeciwną... – Łucja kokieteryjnie odgarnęła włosy w kolorze, jak dobrze zapamiętałem po ostatniej wpadce, siena palona. – *Pourquoi ne pas toi?*

Nie wiedziałem, co rzec, na takie *dictum*. Wybrałem bezpieczną opcję – powstrzymałem się od odpowiedzi. Weszliśmy do zarezerwowanej dla nas na wieczór sali ze stołem dla jedenastu osób.

– No nareszcie!!! – Entuzjastycznie na mój widok zareagował kolega Wyżyński. – Doktor habilitowany nas zaszczycił.

– Bardzo was wszystkich przepraszam! Po prostu nie daję rady...

– ...tylu naraz sukcesom – dokończył za mnie Patison. – Ponieważ moi drodzy, doktor-dopiero-co-habilitowany Termos w zeszłym roku otrzymał spektakularny awans. Uprzednio jego awanse przyjęła pewna urocza kobieta,

potem dali radę spłodzić dziecię. Żeby ci tylko, Termos, sodówka nie uderzyła do głowy. Twoje zdrowie, bestio!

Rafaello oraz Krzysztof, mój znajomy rehabilitant, wprowadzili z zaplecza do naszej salki wysoki obrotowy fotel opakowany w szeleszczący, żółty papier.

Władzio wstał zza stolika i jak to on, po dwóch głębszych, nabierał pewności siebie, a jego przemowy – niespotykanej głębi.

– Szroniewski! Doktorze Termosie! Przyjmij od nas Złoty Stolec. Mamy nadzieję, że nie dasz się z tego stolka przegonić. Pamiętaj zawsze, kto cię wyniósł na ten tron – my, twoi przyjaciele. – Władzio zagapił się na kelnerkę i wyraźnie zgubił wątek, ale jakoś się zreflektował i ponownie wpadł w retoryczne tryby. – I mamy nadzieję, że jako zastępca ordynatora doprowadzisz wkrótce do sytuacji, że ten kłopotliwy przedrostek przed twoimi tytułami zostanie skreślony. To mówię ja, Władek. W zeszłym tygodniu nie mówiłem, bo byłem chory...

Przymierzyłem się do nowego fotela, zdawał się być wygodny i dobrze wyważony (w przeciwieństwie do moich nastrojów). A poza wszystkim chętnie po całym zalatany dniu usiadłem.

– Skoro już wprowadziłeś ducha absurdu do swojej mowy, Cyceronie – puściłem oko do Władka – to i ja wam opowiem historyjkę. Wczoraj, po zebraniu kierownictwa profesor Łatka wyjął z szafy starego whiskacza, sekretarka rozlała do szklaneczek. Parę osób coś tam wybąkało, Łatka złożył gratulacje i popatrzył wymownie na docent Iwonę Struś. Ucichło. Wszystkie oczy skierowały się na nią. Postanowiłem niczego jej nie ułatwiać i spokojnie czekałem na to, co z siebie wydusi. Zrobiła minę, jakby ją pantofle uwierały, i przyparta do muru ciężarem naszych spojrzeń wydukała: „Urazy wyznania!”. Dopiero tłumiony śmiech kilku osób musiał jej uświadomić, że coś poszło nie tak z toastem i szybko dodała: „Wyrazy uznania, chciałam powiedzieć”.

– Dobrze. Kupuję „urazy wyznania”! Użyjemy tej formuły, jak będzie w czerwcu odchodziła na emeryturę. – Głośno zaśmiał się Patison.

– Nie, dlaczego. Ja jej będę wówczas życzył najszczerzej wszystkiego dobrego, byleby z daleka od naszej kliniki.

Łyknąłem trochę nazbyt ciepłe piwo i przemieściłem się ze Złotego Stolca na normalne krzesło, obok Patisona.

– Co tam znalazłeś na tym Żoliborzu?

– Oglądałem mieszkanie na Sadach Żoliborskich, na wtórnym rynku, niedaleko mojej starej kawalerki – głęboko westchnąłem na myśl o dawnym życiu – i jeśli Miłka się zgodzi, kupię je. Blok zwykły, bez zadęcia. Mieszkanie za niskie, może trochę przyciemne, bo to parter, ale za to z ogródkiem. Spadkobiercy się raczej spieszy, bo mieszka za granicą. Zakładam, że zejdzie z ceny. Miłka powinna być wniebowzięta. Sam środek osiedla Skibniewskiej...

– Jakiej Skibniewskiej? – Władek wstrzelił się z pytaniem.

– Jakbyś, Władziu, miał szersze horyzonty, poczytał coś o stołecznej architekturze, trendach urbanistycznych, wiedziałbyś, kim była Skibniewska.

Władek machnął tylko ręką i wystarczająco ośmielony alkoholem poszedł porwać w tango Kaśkę Byrcyn.

– Sorry, że tak późno. – Ciężka łapa Radka Surowieckiego spoczęła na moim ramieniu. – Prosto z chałtury wracam. Ale zaraz się zregeneruję i wypiję za twoje sukcesy.

Surowiecki przywitał się z Patisonem, po czym z wprawą godną starego Bawarczyka łyknął duże piwo i natychmiast poprosił o następne. Zdjął marynarkę, odprężył się i zlustrował wszystkich moich gości. Zahaczył wzrokiem o błyskającą co chwila w sąsiedniej sali Władziową łysinę.

– Ta lala, co tam wywija z Władkiem na parkiecie, to twoja sekretarka? Słyszałem, że zmieniłeś model na nowszy.

– Co ty?! W życiu bym się tak nie spoufalał z sekretarką. To Kaśka jest. Góralka. Moja stażystka. Najzdolniejsza dziewczyna, jaka się przewinęła przez oddział w trzecim tysiącleciu.

Radek założył okulary na środek głowy i zogniskował nieuzbrojony szkłem wzrok na Katarzynie i jej partnerze. Oboje miotali swoimi ciałami w rytm kubańskiej melodii.

– A nowszy model jest genialny. – Patison wyraził opinię. – Opowiedz mu.

– Co? Co straciłem? Czego nie wiem? – Surowiecki rozejrzał się wokół.

– Doraźnie nic. Wieczór się dopiero rozkręca. – Przegryzłem orzeszka. – Patison mówi o Aldonce, naszej oddziałowej sekretarce. Ze dwa tygodnie temu, po świętach, rzuciłem jej hasło do kalendarza: „Zdjęcie szwów u pani Matyjaszkowej”, owrzodzenie się wdało, chciałem sam dopilnować, i konkretną datę do zapisania. Kiedy przyszedł wskazany dzień, dostałem na skrzynkę mejla od Aldonki ze zdjęciem podgojonego cięcia przezprostnego dolnego. W znaczeniu fotografii. Chwytasz? Gwiazdeczka zrobiła pacjentce cztery foty smartfonem i przysłała mi mejlem.

– To ty jej, Termos, nic nie wspominaj, dajmy na to, o przewodzie pokarmowym – mój kolega niemal zadławił się fistaszkiem – bo jak usłyszy słowo „przewód”, to ci kable ze ścian powyrywa.

– Nawet nie zamierzałem.

– Bo ty masz, Termos, powiem ci, wybujale oczekiwania wobec współpracowników – wtrącił się Patison. – Poproś pielęgniarki, to nauczą Aldonkę składać ligninę. Wtedy będzie z niej jakiś pożytek.

– A może ona ma takie poczucie humoru? – Radek próbował podejść do sprawy wieloaspektowo.

– Taaa... Poczucie humoru jest podstawą pracy ginekologa i całego oddziału. Kto by tam wnikał, gdzie jest macica...

– Oj tam. Zawyżasz standardy. – Radek poluzował krawat.

Więcej nie mogłem ponarzekać, ponieważ DJ zapuścił skoczną muzykę i wówczas miss Murzasichla (przynajmniej tak sobie wyobrażam), Kaśka Byrcyn, wszystkich nas, całą starą gwardię, podniosła z siedzeń i odtańczyliśmy dla niej „Posed jo se łunczkę kosić, słonko świeciło...”.

Kapsułka trzydziesta ósma

27 lutego

Niebo szare, dzień ciężki. Rozpoczęliśmy akcję „Pudełko”. Przytargałem ze trzydzieści kartonów z pobliskiego spożywczaka. Najlepsze są po makaronie, duże i wytrzymałe. Najwięcej dostałem po piwie, keczupie i chipsach. Ciekawe, czy jakiś socjolog próbował już zajmować się analizą przyzwyczajęń żywieniowych konsumentów polskich na podstawie opakowań wyrzucanych przez sklepikarzy?

Nie bardzo wiem, od czego zacząć całe to pakowanie. Ale wiem, że pora upchać klamoty do pudeł i zacząć je już przewozić na Sady Żoliborskie.

Świat rzeczy dotkliwie mnie przygniata. Zawsze będę podziwiał Miłkę za to, że obejmuje swoim rozumem straszny, zimny i nieogarniony wszechświat pierdół i manatków. W domu, na wyjeździe, gdziekolwiek niezawodnie wie, gdzie aktualnie znajdują się: ładowarka do aparatu, zapasowe klucze do piwnicy, album ze zdjęciami z 1992 roku, gwarancja na odkurzacz, klej do plastiku, zapasowe fleki, książeczka szczepień, lewy sportowy but Antosia, żółta spinka Hani i około czterech milionów innych drobiazgów. Taka pamięć to jakaś boska, a w każdym razie nadprzyrodzona umiejętność. Ja nawet myśli swoich upilnować nie potrafię! Chwała Bogu, że w szpitalu są siostry instrumentariuszki, bo gdybym sam musiał...

– Tomasz?

Drgnąłem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że Hania stoi dwa kroki za mną.

– Co tam, Haniu?

– Zobacz, kto stoi przed naszą furtką.

Hania uniosła brwi i hipnotycznie wpatrzyła się we frontowe okno.

Jednocześnie co do nanosekundy wypowiedzieliśmy niczym magiczne zaklęcie dwa słowa: siostry Goździkówny. Rzeczony panie stały na chodniku, niedaleko od naszej furtki, i międliły coś w dłoniach. Wyglądało na to, że zawzięcie się kłóca. Ale może mi się zdawało. Albo to ich zwyczajowy sposób rozmowy.

Miałem nadzieję, że tak tylko sobie przystanąły, przycupnęły, że odbędą naradę i odejdą. Ale próżna to była nadzieja. Zakończyły dyskusję i przydeptawszy świeży śnieżek na naszej dróżce, zabębniły w drzwi. A przecież same nie tak dawno obiecywały, że ich noga więcej tu i tak dalej.

– Dzień dobry? – Otworzyłem prawie natychmiast.

– Pani Burlakowa, świeć Panie nad jej duszą, zmarła w zeszły czwartek –

powiedziała Regina, a kłęby pary z jej ust uniosły się z zimnym powietrzem aż pod daszek.

Zbaraniałem. Jaka Burlakowa? O kim one mówią i dlaczego mi to mówią?

– Wieczny odpoczynek! – wypaliłem. – A paniom jaką posługę mógłbym...

– Nieboszczka dożyła dziewięćdziesięciu dziewięciu lat – odezwała się Irena. – Przeżyła męża prawie o pół wieku.

– Tak, tak, kobiety są bardziej uparte w kwestii życia – przytaknałem.

Doświadczenie uczy, że każda informacja sióstr stanowi atak właściwy lub co najmniej wstęp do ataku, dlatego nie tracę czujności i czekam w napięciu.

I tak stoimy. Ja patrzę na zacne sąsiadki, a one na mnie.

Regina wyjęła z kieszeni płaszcza jakieś zawiniątko i zaczęła nim potrząsać. Irena w tym czasie dobyteła z kieszeni pogniecioną kartkę i ołówek. I nadal czegoś wypatrują.

– Zapłacić trzeba składkę na wieniec. Wedle uważania. Ale wszyscy dają po dwadzieścia złotych. Tylko pan Sieńko dał pięćdziesiąt, bo drobne mu się skończyły.

– Powoli! – Gestem dłoni zdystansowałem się od całej sprawy. – Jeśli panie poniosły stratę, składam szczerą kondolencję. Jest mi przykro. Ale ja nigdy nawet nie widziałem nieboszczki. Mieszkam tu zaledwie od paru miesięcy i rychło przestanę.

Po raz pierwszy, odkąd się znamy, udało mi się wprowadzić siostry w stan konsternacji. Cisza trwała chyba z pięć wieczności. Najpierw kobiety popatrzyły sobie w oczy, potem z nienawiścią na mnie, a następnie znowu jedna na drugą i widać było, że wydały jednomyślny wyrok skazujący. Irena bez skrępowania wyraziła się o mnie w osobie trzeciej, podsuwając Reginie gotowe rozwiązanie.

– Ma zapłacić. Bez gadania.

Granice uciążliwości zostały przekroczone. Dostyc cackania. Trąby pańskie zadęły i zapowiedziały Sąd Ostateczny.

– Wybaczą panie, ale nie. Powtarzam, nie znałem nieboszczki. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć – na chwilę wyprowadziłem je w pole – bo gdyby to pani – zwróciłem się do Ireny – albo też pani – popatrzyłem głęboko w oczy Reginie – zechciały oddać ducha, wówczas ma się rozumieć, dałbym pięćdziesiąt. A może nawet i sto.

– Idziemy stąd! – huknęła Irena. – Nasza noga więcej...

– Tak, tak... Słyszałem to. I tym razem proszę dotrzymać słowa!

Kapsułka trzydziesta dziewiąta

7 marca

Kluseczki kładzione z sosem, buraczki na gorąco, zawieszista pomidorowa, kompot truskawkowy. Zrazy wołowe zawijane, ogórkowa, marchewka z groszkiem – tak na dziś brzmi dla mnie skrócona definicja szczęścia. Nie wiedziałem, który zestaw wybrać, więc zamówiłem obydwu. Sos na miejscu, a zrazy do styropianowej foremki na wynos. I za to wszystko czterdzieści osiem złotych.

Pani Dziunia, moja kulinarna bogini, w najlepszej formie. Przelyk pęka w szwach. Od razu pół szpitala pracuje wydajniej.

– Odkąd mogę w pracy zjeść uczciwie – Skórski zmiął serwetkę i rzucił na środek talerza – to przynajmniej, kiedy operuję i odkrawam pacjentowi apetyczny kawałek mięsa, nie fantazjuję o obiedzie.

Kobieta energicznie przecierająca szmatką stolik obok wykonała półobrót w naszą stronę. Na ułamek sekundy zastygła w bezruchu, a jej źrenice wyraźnie się rozszerzyły.

– Cooo? – Skórski obejrzał się za znikającą na zapleczu kobietą.

– Eee, nic. – Machnąłem ręką. – Odruchowo się cofnęła. Widocznie nowa jakaś, nieprzyzwyczajona do szpitalnej gwary. Gdyby one usłyszały – broda wskazałem na trzy uwijające się w kuchni kucharki – gadki Wincenta... On nawet mnie samego czasem przeraża, jak uśpi pacjentkę i nagle upiornym szeptem puści tekst w typie: „*Game over*. Masz jeszcze trzy życia”. Weź potem, człowieku, tnij równo...

– Czekaj! Zapomniałbym!!! – Skórski palnął się w czoło, podsunął krzesło bliżej stolika i wychylił się w moją stronę. – W zeszłym tygodniu grałem w tenisa z Wiesławem. To mój sąsiad z Józefowa, prokurator.

– I co?

– No już ci mówię co. Pamiętasz tych koleś w alfie romeo, co w nich skoda przyjechał? – Skórski zerknął na mnie i nie czekając na potwierdzenie, ciągnął dalej: – Jeden z nich, taki szczerowaty koleś, to synek naszego komendanta był, a drugi, lokalny celebryta, w Józefowie mówią na niego MC² – Mateusz Cezary Kwadracik, z kolei syn takiego jednego adwokata. Wyjątkowa gnida. O tatusiu mówię w tej chwili – wyjaśnił Skórski – i wyjątkowo skuteczny. Za kasę już niejednego bandziora wybronił. Mafioso w todze. Upasł się na tych szemranych interesach.

Przed oczami zamajaczyła mi jakaś palma czy fontanna, ale nie mogłem wydobyć z pamięci obrazu, więc zaniechałem prób i skupiłem się na opowieści

Pawła.

– A jego synalek...

– Ten MC²? – Nie chciałem zgubić wątku.

– No tak, tak. Młody Kwadracik, miejscowy królewicz, z zadatkami na gangstera. No i teraz najlepsze. Ten młody aspirant, co ci żółwia wyciągnął spod pedału, uparł się i chciał sprawdzić koleś z alfy. Odmówili badania alkomatem, zaczęli się rzucać. No to ich niebiescy skuli. Na komisariacie znaleźli przy nich kokę i amfetaminę. We krwi też mieli. A na deser okazało się, że synuś komendanta, lat dziewiętnaście, od kilku dni nie miał prawa jazdy, bo go gdzieś pod Gdańskiem policjanci dupnęli. Komendant był jednak za krótki, żeby załatwić sprawę przez telefon, a chwilowo przebywał na Majorce... No i – Skórski przerwał na chwilę i wyjadł ze szklanki owoce z kompotu – teraz zagadka: który z dżentelmenów już nie ma pracy?

– Młodszy aspirant – odpowiedziałem ponuro.

– No... Skąd wiedziałeś? – Wstaliśmy obaj od stolika. Zbliżała się godzina obiadowa, więc tłum napierał. – A ten drugi gorliwy, patrz, co za pech, został dotkliwie pobity przez nieznaną sprawców.

Kluski z sosem podeszły mi do gardła.

Kapsułka czterdziesta

19 marca

W wieku czterdziestu jeden lat zostałem posiadaczem osiemdziesięciu ośmiu metrów kwadratowych z wyjściem na taras i kawałkiem ogródka. Podpisałem akt notarialny oraz pakt z diabłem (występującym dla niepoznaki pod nazwą Amigo Bank) na dwadzieścia lat. Na dzisiejsze, sobotnie przedpołudnie zaplanowałem superrelaks – uprzątnięcie starych gratów z piwnicy bloku przy ulicy Tołwińskiego. Trochę dodatkowej przestrzeni przyda się nam niezawodnie, kiedy tylko zaczniemy przewozić rzeczy z Saskiej Kępy na Żoliborz.

Zrobiłem chyba z piętnaście kursów na śmietnik, głównie z zapasowymi kafelkami i zaschniętymi farbami, które zostały po poprzednich właścicielach. Pozostał mi do wyniesienia telewizor kolorowy marki Rubin oraz pralka wirnikowa marki Měsic produkcji czechosłowackiej. Zadzwoiłem po Patisona, aby pomógł mi usunąć z piwnicy ten zestaw pamiątek po peerelu. Obiecał, że będzie za godzinę, i słowa dotrzymał.

Nieoczekiwana nagroda spotkała nas za tę brudną robotę. Otóż w kącie, za zamrażarką, wprost na betonowej posadzce stała nietknięta butelka burgunda Fixin les Crais, rocznik 2001.

Cali spoceni i zakurzeni przenieśliśmy się z podziemi bloku przy ulicy Tołwińskiego na poziom naziemny, aby móc przeprowadzić degustację, jak przystało na zakończenie prac porządkowo-remontowych.

– Prawie jak wiadomość w butelce od poprzednich właścicieli. Dobra wróżba! – skomentował Patison i odruchowo zajrzał do wiszącej nad blatem nowiutkiej szafki w poszukiwaniu szkła.

– Czekał, w sypialni na parapecie coś widziałem. – Umyłem dwa obtłuczone kubki pozostałe po ekipie malarzy i je napełniłem.

Niestety ręka mi się omsknęła i udało mi się także rozlać trochę wina na podłogę. Jasnoszare fugi mi tego nie wybaczą... Rzuciłem się z mokrą ścierką na plamy, ale zdołałem tylko nieco je rozmazać.

Patison uśmiechnął się pod nosem i odezwał w trybie pocieszycielskim:

– Nie przejmuj się, stary. Ludowa mądrość głosi, że lepiej mieć Parkinsona i trochę rozlać, niż Alzheimera i zapomnieć się napić...

– Przecież nie zapomniałem! Twoje zdrowie, złotousty pistolecie.

– Twoje, twoje... wasze. Niech wam tu będzie dobrze. A w ogóle to jak ty ostatnio żyjesz? Tak ciągle ganiasz, że nie ma kiedy słowa zamienić.

– Nic się nie zmieniło, Patison. Trwam w nieustannym biegu od pralki do

cesarki. Staram się robić swoje i nie zadawać sobie pytań egzystencjalnych. Jeśli mam czas ponosić Tolę na rękach i zobaczyć jej bezzębny uśmiech albo powyglądać się z Antosiem, to już jest jakaś nagroda za cały zagoniony dzień. Bo Hania to już za duża na takie wygłupy...

– Wiesz, gęba ci jakoś zjechała. – Patison przyglądał mi się, jakby mnie nigdy nie widział.

– Tracę twarz, chcesz powiedzieć?

– E, nie, ale powiedz szczerze... Gdybyś teraz z tej strony barykady miał wybierać – małżeństwo czy przewlekłe kawalerstwo.

– Oj, przestań... Eutanazja. Na coś się trzeba zdecydować i wytrwać. Nie ma ucieczki z tej beczki. I nie ma co wydziwiać. W końcu życie to tylko stan przejściowy.

Wznieśliśmy dwa obtłuczone puchary. Za niepewną przyszłość. Za nieuchronne klęski. Za wątpliwe sukcesy. Za naszą przyjaźń. I za pogmatwany świat.

Od Autorki

Za nic nikomu nie dziękuję. Natomiast szczerze przepraszam. Przepraszam moje dzieci, że w czasie, gdy pisałam tę książkę, od wakacji 2015 aż do czerwca 2016 roku, musiały średnio co drugi dzień jeść mrożoną pizzę. Na szczęście tylko kilka razy zapomniałam ją podgrzać.

